Cena 40 groszy. Opłata pocztowa uiszczona gotówką.

ZACZYN

TYGODNIK

Nr. 4–5. Warszawa, 24–31 grudnia 1936 r. Rok I.

„SIEROCTWO" LEGIONISTÓW

Gdy pewien posiwiały legionista, człowiek, o którym można powiedzieć, że posiwiał na wojnie, w bojach, ujrzał nieruchome ciało Józefa Piłsudskiego, złożone wysoko na katafalku w sali belwederskiej, serdecznie się rozpłakał i ciężko szlochając wołał: „Sieroty jesteśmy! Na całe już życie sieroty!..."

Oto stosunek żołnierza do Wodza, do Wodza, którego się nigdy nie zapomni, który żyć będzie w sercach swoich pierwszych żołnierzy zupełnie inaczej, odrębnie niż w pamięci całego narodu. *Komendant* umrze, gdy przestanie bić serce ostatniego legionisty i ostatniego peowiaka.

Do psychiki *ogółu* legionistów nie dotarła świadomość, że „sierotami" byli legioniści na wiele lat przed fizyczną śmiercią J. Piłsudskiego, a źródłem tego sieroctwa był sam Komendant.

Piłsudski był geniuszem Czynu. Ten geniusz Czynu posuwał się olbrzymimi skokami. Dlatego marsz legionistów za J. Piłsudskim był zawsze przyśpieszony, dlatego ich uszykowanie ideowe przystosowane było zawsze do skoków Komendanta... Dlatego zwracali uwagę głównie, przede wszystkim i nadewszystko na skład personalny swojej straży przedniej, jej przypisywali znaczenie decydujące. To zawsze legionowa straż przednia zajmowała J. Piłsudskiemu szeroki front z nieomylną pewnością: „Leguny nadciągną". I leguny nadciągali.

I leguny gotowi są zawsze ciągnąć za swoją strażą przednią. Po każdym skoku Komendanta tylko najszybciej się w straży przedniej orientujące jednostki dostrzegały, iż Komendant brał na siebie odmienną postać, stawał w innej roli, chwytał się innych narzędzi, odmiennych instrumentów działania, wytyczał sobie na nowej drodze cele odmienne, przy jednakowej zawsze nieodmiennej własnej postawie duchowej. Stopniowo cała straż przednia rozdziawiała gęby ze zdziwienia i nie zdążywszy paszczy zawrzeć — zaczynała pracować po swojemu, ale *na nowo.* Leguny z sił głównych, maszerujących po legionowemu, rzetelnie rozciągniętych, z nieprawdopodobnymi nieraz odstępami szli do odwodu i tam robili to, co w odwodzie leguny zawsze robili. I zawsze byli tacy co bardzo ładnymi oddziałkami zjawiali się pod koniec wszystkiego lub jeszcze później. Szczególnie w 1926 r.

Przyzwyczaili się więc legioniści zwyczajowo do takiego porządku: Komendant bezpośrednio ciążył nad legionową strażą przednią i podcinał ją, straż przednia waląc naprzód, ciągnęła za sobą siły główne: ogół legionowo-peowiacki. Tak jakoś — i wcale nienajgorzej; rzecz stała do r. 1926 z owym znanym hasłem legionowym: „Komendant ma głowę — niech sobie myśli".

Tymczasowo od r. 1926 stawało się coraz bardziej wyraźniejszą rzeczą chyba dla legionistów, że Komendant siły główne chciałby widzieć w *całym* narodzie... Z tego powodu i straż przednia musiała być inna... Jej skład musiał być odmienny. Podstawa jego o wiele, wiele szersza. Otóż to — jest tym do czego ogół legionistów nie był przygotowany psychicznie. Z tego wypływało jeszcze za życia J. Piłsudskiego sieroctwo ideowe legionistów. Okazało się jeszcze raz: Geniusz Czynu jest trudny.

Zakres pracy, przede wszystkim pracy państwowej legionistów i peowiaków po przełomie majowym rozszerzył się znakomicie i nawet bujnie. Praca taka wymagała nie tylko wielkich, historycznych rozstrzygnięć. Wymagała rozstrzygnięć niemal codziennych a więc i małych, wymagała też perspektyw krótkich, ale prawdziwych, rozeznania możliwości nasuwanych szybko przez „rzeczywistość" i to „rzeczywistość" dosyć zmienną w czasie, jak obecny skomplikowanym.

I w tej codziennej rzeczywistości „amcili" legioniści i peowiacy rozmaicie: lepiej i gorzej, bardzo dobrze i bardzo źle w zależności od tego, jacy ludzie pośród nich do czego się wzięli i do czego się nadawali. I wielu było i mnóstwo jest pośród legionistów i peowiaków takich, którzy z kretesem zapomnieli, że jedyną rzeczą, jakiej chciał J. Piłsudski legionistów nauczyć i nauczył — to *walka.* Przestali walczyć, przystosowali się do bierności, poczęli oceniać warunki i „rzeczywistość" miarą „amciarzy", poczęli tolerować rzeczy, których nigdy nie należało i nie należy tolerować, potracili cywilną odwagę, tłumili ją w innych, stali się „inteligentnymi trupami", zapomnieli wiele z swej przeszłości, zapomnieli czym jest dynamiczna młodość, ale nie zapomnieli, że są legionistami i zawsze gotowi są wszczynać zupełnie niepotrzebne hałasy niepodległościowe w narodzie niepodległym.

A tymczasowo żyjemy w okresie genialnym, czyli „okresie wielkich możliwości", z których nie chcemy sobie w żaden sposób zdać sprawy realnie, aczkolwiek wszyscy to czujemy. Aczkolwiek wszyscy czujemy, że musimy, tak jest *musimy* (choćbyśmy nie chcieli, a mamy wielką skłonność — nie chcieć) dążyć do celów wielkich i rozstrzygać sprawy wielkie.

Polska ma być na Wschodzie nie tylko największą potęgą militarną lecz i kulturalną — to wskazanie Józefa Piłsudskiego musi być zrealizowane, a nie zrealizują tego wskazania folwarki ministerialne, lecz silny, zwarty, jednolity rząd, działający planowo, silna, wielka organizacja polityczna narodu, narodu karnego, ale karnego *świadomie.*

Polska ma być przeciwnikiem dla nieprzyjaciół groźnym — oto wskazanie Marszałka Rydza-Śmigłego, ogólne ale zupełnie wyraźne, które należy na podstawie przemyślanego planu państwowego wykonać, bo setki zbawców ojczyzny przegadują wszelkie nasuwające się możliwości — rzecz to nie od dziś wiadoma.

Jeżeli legioniści i peowiacy pragną w okre-

REDAKCJA ZACZYNU SKŁADA PRZYJACIOŁOM, CZYTELNIKOM I WSPÓŁPRACOWNIKOM SERDECZNE ŻYCZENIA ŚWIĄTECZNE I NOWOROCZNE.

sie wielkich możliwości odegrać rolę czynną muszą natychmiast, od zaraz jako ogół porzucić uprawianie hałasu niepodległościowego, dając tym przykład różnym organizacjom.

Ogół legionistów i peowiaków zbyt długo w samym fakcie bicia się, w samych bitwach, w prostym, nagim, zrozumiałym czynie upatrywał chwałę swoją i Komendanta. Łowczówek w prawo, Kostiuchnówka w lewo, Mołotków w prawo, Rokitna w lewo, wszystko razem jeszcze raz! i na odwyrtkę! Wojciechu? A co? Jak tam było pod Przepiórowem? Lu!

W tym wszystkim nic — z samego Józefa Piłsudskiego, ze zrozumienia Go!...

Naród polski jest jednym z najwaleczniejszych narodów Europy o pięknej tradycji wojennej. Szwoleżerowie dostali po kwaterce okowity, siedli mocno w siodłach, przeżegnali się, splunęli w garść, wyciągnęli ciężkie szabliska — i miał Napoleon i my sami Samo-Sierrę... Minęła niedawno rocznica bitwy pod Wiedniem, był Grunwald, Chocim, Raszyn, Olszynka... Liczyć tylko a wyliczać. Kiedy szwoleżerowie nam współcześni, wywodzący się z 1 pułku Beliniaków, a mający w r. 1919 tyle legionistów, ile ma baba świąteczna rodzynek, kiedy ci chłopi z lubelskiego jechali koleją ku Wilnu, nie bardzo wiedząc gdzie to Wilno leży — twierdzili jednogłośnie: „Jak pan Naczelnik Piłsudski je z tego Wilna, to chyba drogę zna a my, wiadomo, dojadziem". Kiedy w tym samym czasie wtoczył się transport 5 p. p. Leg. na źle oświetloną stację Białystok, rekruci tego pułku, synowie chłopscy i znowu nie legioniści, na zapytanie z jakiego są pułku odpowiadali dumnie: „Z najlepszego!...", znając z historii swego pułku tylko to jedno, że oni, rekruci, są najlepszym pułkiem i „zuchowaci".

To chłopskie *„Dojadziem!"* jest pod względem wojskowym arcypolskie... Polak jest skłonny do bitki, ma jej nawet wielką chęć, stanowi element żołnierski pierwszorzędnej jakości, w kawalerii wręcz znakomity — o tym wiedzieli i zaborcy. Do narodu walecznego, którego dzieci wyliczając sławnych Polaków, wymieniają tylko nazwiska wodzów i poetów — zjawiło się jakieś zwarjowane żywe Biuro historyczne, stokroć gorsze od istniejącego, jakiś drugi Kamieńsk, istny „dom warjatów" legionowych, w którym każdy legionista z powodu byle jakiego udaje płytę z nad grobu Nieznanego Żołnierza, usianą nazwami bitewnymi...

Narodzie legionowy! Narodzie waleczny! Opamiętaj się! Gdyby nie „tysiąc walecznych", lecz jeszcze dziesięć razy tyle opowiadało o wszystkich bitwach legionowych i o walkach niepodległościowych — nie przybędzie z tego ani jedna szkoła, ani jedno działo...

Musicie zdecydowanie stać się zwolennikami okresów w historii narodu zamkniętych i okres Legionów Polskich, P. O. W. roku 20-go, maja 1926 i okres B. B. — uważać za okresy godne zainteresowania historycznego, lecz nie aktualnego.

Wtedy zniknie „sieroctwo" legionistów.

Naród musi znaleźć się na drodze do wielkich rozstrzygnięć, do wielkiej realizacji pod grozą przegrania wojny, która się zbliża... Na tej drodze leżą tylko wielkie obowiązki, ciężkie, bardzo ciężkie obowiązki i nakazy moralne.

Ale *dojadziem!*

Albowiem jak mówił Józef Piłsudski: *Wiele ten może kto musi.*

SPRAWA GDAŃSKA

W sprawach gdańskich opinia polska straciła w ostatnich czasach orientację. Waha się ona pomiędzy biernym optymizmem: „Przecież właściwie w Gdańsku nic się nie dzieje", a panikarskim pesymizmem: „Hitlerowcy opanowali Gdańsk, wszystko stracone, musimy bronić naszych praw środkami heroicznymi". Ani jedna ani druga z tych dwuch opinii nie jest prawdziwa.

Oczywiście w Gdańsku dzieje się bardzo wiele rzeczy i to poważnych. Są to odgłosy wielkiego przełomu ideowego, który dokonał się w narodzie niemieckim i który nawet po za granicami Rzeszy wywołał poważne reperkusje i to nie tylko wśród ludności niemieckiej.

Zanim jednak przejdziemy do oceny istoty rozwoju wewnętrznej polityki Gdańska pod wpływem ruchu hitlerowskiego, musimy przede wszystkim zdać sobie sprawę z charakteru ustrojowego Wolnego Miasta.

Utworzenie Wolnego Miasta—było kompromisem pomiędzy powszechnie uznaną koniecznością polityczną i gospodarczą udzielenia Polsce dostępu od morza przy ujściu jej magistralnej rzeki Wisły, a narodowościową ideą Prezydenta Wilsona, nakazującą pozostawienie Gdańskowi jaknajdalej idącej samodzielności wewnętrznej. Kompromis ten oczywiście daleki jest od ideału, czasami nawet nasuwa przypuszczenie, że niektórzy twórcy traktatu wersalskiego świadomie splot polsko-niemieckich interesów u ujścia Wisły zadzierzgnęli w węzeł gordyjski, który miał się stać najpoważniejszą przeszkodą w ustanowieniu dobrych stosunków sąsiedzkich pomiędzy Rzeszą a Rzecząpospolitą. Dla utrudnienia sytuacji, a prawdę mówiąc poprostu dla ochrony Gdańska przed zbyt wielkim naporem ekspansji polskiej, zostały stosunki polsko-gdańskie poddane jeszcze trzeciemu czynnikowi — Lidze Narodów. Miała ona stać się z jednej strony arbitrem w sporze Gdańska z Rzecząpospolitą (ciekawe, że ustrój ten przewidywał i jakby faworyzował zgóry powstawanie takich sporów), następnie zaś miała Liga być stróżem i gwarantem wewnętrznych swobód konstytucyjnych Wolnego Miasta, w tym okresie parlamentarnego demokratyzmu, jakim był okres, który nastąpił bezpośrednio po traktacie wersalskim.

W pierwszym okresie polsko-gdańskiej polityki, który trwał mniej więcej do roku 1931, Rząd Polski poddał się całkowicie narzuconemu sobie przez ten stan rzeczy kierunkowi. W wieloletnich sporach nie tylko o prawa Polski w Gdańsku, ale i o dziwo! — o prawa Gdańska wobec Polski (chociaż tych ostatnich praw traktaty wcale nie przewidywały), uzyskiwała Polska w instytucjach ligowych i Międzynarodowym Trybunale Sprawiedliwości w Hadze wyroki pozytywne i negatywne, zawsze jednak pełne machiavelistycznej dwuznaczności: jaknajwięcej krępujących Gdańsk form na rzecz Polski, jaknajmniej w tych formach treści, którąby mogła zabezpieczyć istotne interesy Rzeczypospolitej.

Dla drobnego przykładu pozwolimy sobie przytoczyć przebieg kilkunastoletniego sporu o sprawy celne. Formalnie zarówno traktat jak i następne wszelkie decyzje ligowe oddawały Gdańsk pod zupełną zwierzchność celną Polski, włączając terytorjum gdańskie do celnego obszaru Rzeczypospolitej. Praktycznie korzystając z istnienia odrębnej służby celnej gdańskiej, forytowano w tych decyzjach autentyczność tej służby i doprowadzono do stanu, który zmusił władze polskie do stosowania ścisłej kontroli towarowej obrotów polsko-gdańskich. Dopiero długie i żmudne rokowania dwustronne z Senatem gdańskim doprowadziły do układu, który przy dobrej woli władz celnych gdańskich może stać się podwaliną prawdziwie harmonijnej współpracy władz polskich i gdańskich na polskim obszarze celnym.

Sprawami czysto-wewnętrznymi, to jest konstytucyjnym życiem ludności niemieckiej w Gdańsku zajmowała się w tym okresie Liga Narodów bardzo mało. Być może, że powodów do tego zainteresowania było napozór mniej. Była to epoka Stresemana, w Niemczech, epoka szeroko uprawianej ligowej hipokryzji. Tendencje te znalazły swe odzwierciadlenie w Gdańsku. Zmieniały się tam kolejno rządy konstytucyjne. Bywali u władzy niemiecko-narodowi, centrowcy, socjaliści — wreszcie koalicje tworzone według rozmaitych kluczy. Wszystkie te stronnictwa były zawsze związane dosyć ściśle z odpowiednimi stronnictwami politycznymi w Rzeszy. Socjaliści nadto z drugą Międzynarodówką.

Sprawy gdańskie nigdy od początku istnienia Wolnego Miasta nie toczyły się po torze właściwych specyficznych interesów tego terytorjum, trwale związanego traktatami i położeniem geograficznym z Polską. Były one zawsze bądź czynnikiem wtórnym pewnych prądów nurtujących naród niemiecki, bądź czynnikiem polityki partyjnej międzynarodówki socjalistycznej. Liga Narodów jednak uważała, że wszystko jest w porządku, gdyż formalnie ustrój liberalno-parlamentarny zapewniał rzekomą zgodność polityki Senatu z interesami i wolą ludu gdańskiego.

Taki był stan rzeczy, gdy w Niemczech nastąpił przełom ideowy i na czele Rzeszy stanął kanclerz Hitler. Ruch narodowo-socjalistyczny wzmógł dynamizm nietylko narodu niemieckiego w granicach Rzeszy ale i tych odłamów ludności niemieckiej, które znalazły się po za jej granicami. Wiemy, że nie wyładował się on bezpośrednio przeciw Polsce dzięki dalekowzrocznej polityce Marszałka Piłsudskiego, która spotkała się ze zrozumieniem ze strony wodza narodu niemieckiego. Nie mamy więc żadnej potrzeby zamykać oczu na głębokie reperkusje tego ruchu w Gdańsku.

Ruch ten jeżeli chodzi o Polskę, przeszedł z linji tak perfidnie podsuniętej Polsce i Gdańskowi, z linji pieniaczenia się przed instancjami międzynarodowymi, na platformę rokowań bezpośrednich. Rząd Polski podchwycił tę zmianę nastawienia i szeregiem układów doprowadził, jak wiemy, do licznych kompromisów korzystnych dla obu stron.

Senat gdański jednak równocześnie uzyskał w pewnym stopniu większą swobodę ruchów wobec Ligi Narodów, która nie rozstrzygając już spraw polsko-gdańskich nie miała na Senat zwykłego środka presji. Było to Senatowi o tyle na rękę, że w rozgrywkach wewnętrznych, dążąc do totalnego ustroju musiał on niejednokrotnie przekroczyć jeżeli nie literę konstytucji, to w każdym razie tę linię ideową, którą zakreślał zasady liberalizmu konstytucyjnego w wydaniu z roku 1920. Jeżeli się doda do tego, że główny atak narodowych socjalistów w Gdańsku musiał być skierowany

przeciw socjalistom i komunistom, cieszącym się specjalnymi sympatiami w Genewie, to łatwo zrozumiemy, że stosunki pomiędzy Ligą a Gdańskiem musiały ulec pewnemu naprężeniu.

W Genewie nie chciano się liczyć z przewrotem dokonanym w pojęciach bardzo wielu narodów od roku 1920, ze zmianami które z tego wynikły i z praktycznymi tych zmian konsekwencjami. Z drugiej strony Liga w momencie obecnym znajduje się przecież w stanie bardzo ciężkiego kryzysu i autorytet jej moralny przy zupełnym braku jakiejkolwiek egzekutywy nie jest wystarczający dla sprostania wytworzonej sytuacji. Dlatego też przejawia się w Genewie coraz częściej tendencja przerzucenia odpowiedzialności na barki rządu polskiego, jako najbardziej zainteresowanego w sprawach gdańskich.

Rząd Polski, jak można sądzić z enuncjacji oficjalnych nie kwapi się bynajmniej do wzięcia na siebie odpowiedzialności całkowitej za losy uprawnień Ligi w Gdańsku. Polska przeprowadza bardzo dokładne rozróżnienie pomiędzy sprawami, które ją w Gdańsku bezpośrednio interesują, jak: uprawnienia Polski, ludność polska, rozwój gospodarczy Wolnego Miasta, a konstytucyjnymi rozgrywkami między różnymi odłamami politycznymi niemieckiej ludności tego terenu. W tych pierwszych sprawach Polska całym swoim autorytetem broni tez uznanych przez siebie za słuszne, w drugiej ogranicza się do roli członka Rady Ligi, która jest gwarantką konstytucji Wolnego Miasta. W tym charakterze Polska podjęła się dwukrotnie mandatu od Ligi Narodów dla wyjaśnienia stosunku Senatu Gdańskiego bądź do Wysokiego Komisarza, bądź do samej instytucji ligowej. Postępowanie Rządu Polskiego w danym wypadku nie było podyktowane chęcią zdobycia jakichkolwiek korzyści materialnych, a jedynie troską o zlikwidowanie sytuacji niedogodnej zarówno dla Ligi Narodów jak i dla Wolnego Miasta. Nie trzeba jednak zamykać oczu na korzyści moralne wypływające z faktu, że Liga Narodów, niedawny sędzia stosunków polsko-gdańskich, udaje się do Polski o załatwienie swych trudności z Senatem gdańskim, jak również z faktu, że Gdańsk ten mandat uznał, dając tym dowód zaufania do bezstronności i objektywizmu polityki polskiej.

Rozmowy polsko-gdańskie na temat wykonania tego zadania ligowego są jeszcze w toku, trudno przesądzać ich wyniku. Z samego faktu uznania mandatu polskiego, można jednak wnosić, że Gdańsk przyłączył się do opinii polskiej co do potrzeby utrzymania roli Ligi Narodów wobec Wolnego Miasta. Obie strony zapewne zdały sobie sprawę, że wyeliminowanie czynnika ligowego z Gdańska w obecnym momencie wyłoniłoby sprawę pewnej zmiany statutu Wolnego Miasta, w sensie wypełnienia vacuum pozostałego po Lidze i podziału jej uprawnień pomiędzy Senat a Rząd Polski, bez czego nie byłaby utrzymana istniejąca równowaga. Przed trudnościami takiej operacji Gdańsk się najwidoczniej cofnął, wypowiadając się za utrzymaniem status quo.

Pozostaje wreszcie do zbadania sprawa, czy i w jakim stopniu polityka hitlerowskiego Senatu może się odbić na wykonywaniu przez Polskę jej uprawnień w Gdańsku. Abstrahujemy tu od faktu, że partia narodowo-socjalistyczna doszedłszy do władzy dała pierwszy Senat Gdański, który oparł swe stosunki z Polską na zasadzie bilateralnych umów, co musimy uważać za dowód całkowitej dobrej woli. Senat ten jednak żyje pod nakazem swej wewnętrznej ideologii partyjnej, której wprowadzenie w życie może faktycznie odbić się ujemnie na wolności handlu w Gdańsku jak i na prawach ludności polskiej. **Pod tym względem wskazana jest jaknajdalej idąca czujność ze strony Rządu Polskiego.**

Jeżeli chodzi o dziedzinę ekonomicznych stosunków w Wolnym Mieście, to rzecz oczywista że zupełna totalizacja gospodarki gdańskiej na wzór niemiecki byłaby niewłaściwa i niemożliwa zarówno na szczupłość i charakter portowy obszaru, jak i ze względu na zależność w dziedzinie cła i handlu zagranicznego tego obszaru od Polski. W istniejących obecnie warunkach zbyt radykalna polityka nie leży zresztą chyba w interesie Gdańska i dlatego kompromis w tej dziedzinie nie wydaje się nam trudny do osiągnięcia.

Zagadnienie ludności polskiej w Gdańsku jest trudniejsze. Oczywiście, że dla poszczególnych ludzi, homines o economici, warunki zupełnego liberalizmu urzędowego są najwygodniejszą formą życia. Ingerencja władz państwowych nie jest rzeczą przyjemną i wywołuje zazwyczaj zupełnie zrozumiałe odruchy irytacji. Słynny historyk angielski Macaulay powiedział przecież, że niektóre podatki bezpośrednie często więcej wywołują niezadowolenia ludności niż przynoszą dochodu skarbowi państwa. Czyż dlatego należy się wyrzec wogóle pobierania podatków?

Ludność polska musi zrozumieć, że władze gdańskie w granicach traktatów mają możność kształtować życie wewnętrzne Wolnego Miasta tak, jak uważają to za najkorzystniejsze dla siebie. Obrona więc praw polskich musi iść nie w kierunku bezpłodnego oprotestowywania i sabotowania polityki wewnętrznej Wolnego Miasta, ale w kierunku upomnienia się o to, aby w myśl istniejących traktatów w nowej strukturze wewnętrznej znalazło się wyraźniej miejsce dla ludności polskiej i by nie została ona przez totalizację ustroju zepchnięta do roli bezprawnych parjasów. Nie wątpimy, że Rząd Rzeczypospolitej wytęży wszystkie swe siły by ten cel został osiągnięty.

Mówiąc o wewnętrznych sprawach gdańskich, chcielibyśmy jedno jeszcze podkreślić. Pewna część opinii polskiej wyraża gorące ubolewanie nad losem opozycji niemieckiej w Gdańsku. Pomijam żale ludzi partyjnych nad upadkiem ich ideowych pobratymców, gdyż **takie stawianie kwestii nie ma nic wspólnego z polską racją stanu** i nic nas jako stanowisko partyjne nie obchodzi. Słyszy się jednak głosy, że upadek partii opozycyjnych odbiera Polsce możność wygrywania stosunków wewnętrznych na swoją korzyść. Twierdzenie to jest teoretycznie słuszne, ale praktycznie, przeglądając historię szesnastu lat polskiej polityki w Gdańsku nie widzimy ani jednego trwałego osiągnięcia dokonanego na tej drodze i dlatego nie mamy żadnych podstaw do przypuszczenia, że strata, którą polityka polska ponosi jest zbyt ciężką. Walki między partiami niemieckimi oczywiście nie obchodzą Polski bezpośrednio, nie jest być może natomiast dla niej całkowicie obojętny los „szarego" człowieka w Gdańsku. Pewna obrona tego „szarego" człowieka przez pochłonięcie go przez tryby organizacyjne partyjne w interesie właśnie utrzymania tego charakteru handlowego i niepolitycznego sfer gospodarczych gdańskich byłaby wskazana. Nie trzeba jej jednak identyfikować z obroną jakiejkolwiek z istniejących w Gdańsku partii opozycyjnych.

Takie są mniej więcej główne przesłanki obecnej sytuacji politycznej w Gdańsku. O sytuacji gospodarczej narazie nie chcemy pisać, gdyż nie ona w tej chwili decydującą w tej sprawie odgrywa rolę.

Zależnie od tego jak się na zagadnienie gdańskie patrzy, jest to sprawa mała lub wielka. Municypalne troski zarządu prowincjonalnego miasta i walki w jego łonie to sprawa oczywiście niewielka. **Reperkusje natomiast jakie sprawa gdańska mogłaby mieć w polityce europejskiej są bardzo wielkie. Niebezpieczeństwo właśnie polega na tym, że decyzje na terenie gdańskim znajdują się w rękach ludzi nieświadomych tego drugiego aspektu zagadnienia.** Upodobniają się oni pod tym względem do tych mówców wiecowych w Polsce, którzy raz płaczą nad tym, że Gdańsk jest stracony dla Polski, to znowu wspominają mickiewiczowskie słowa o Gdańsku „mieście naszym". Istnienie Wolnego Miasta Gdańska jest kompromisem pomiędzy ekspansją niemiecką a polską. Jako taki kompromis i to zbudowany nie na zasadzie dwustronnego porozumienia, jest zagadnieniem niezwykle złożonym. Nie nadaje się też on do traktowania go na forum wiecowym. Gdyby gdańscy działacze partyjni i nasi mówcy wiecowi byli tego świadomi, wiele lotnych głupstw nie wyszłoby z ich ust i wiele by się przejaśniło w atmosferze panującej na dolnym biegu Wisły. (47).

WOJNA*)

II. PRZYGOTOWANIE PSYCHICZNE DO WOJNY

Stany zapalne w Europie i na dalekim Wschodzie grożą zlaniem się w jedno wielkie ognisko i pożarem świata.

Po Hiszpanii gdzie sprawdza się skuteczność nowych broni zarówno materiałowych jak i psychicznych, przychodzi kolej na nieszczęsne Chiny, by na tym terenie toczyć pierwsze wstępne boje o hegemonię nad światem, lub o podział łupu.

My dobrze wiemy jak cudzym kosztem staje przymierze skłóconych potęg światowych.

Wielkie potęgi biją się ze sobą, lecz ćwiartują słabych i nieprzygotowanych nałeżycie do zapasów wojennych. Bez względu na to czy się jest sojusznikiem czy przyszłym wrogiem, czy zamierza się być neutralnym — zawsze należy być groźnym i jako taki ocenianym.

Polityka przestała już być sztuką maskowania, okłamywania, przestała być sztuką wykręcania się, niedotrzymanych przyrzeczeń, intryg i reasekuracji.

Dziś z takiej polityki śmieją się kierownicy państw agresywnych, gdyż pozorne zwycięstwa „chytrych" służą im za odskocznię do poważnych zmów i wyzyskania tych „zwycięstw" dla swych posunięć taktycznych.

Bardzo „chytrą" politykę prowadziła Liga Narodów. Znać to po Abisynii, Hiszpanii, Chinach.

Nasze sfery inteligenckie, ze swoją ubożuchną myślą polityczną, są wraz z przysłowiowymi fryzjerami szczęśliwe, gdy dzienniki dostarczą im materiału do planów podziału świata i stawiania horoskopów politycznych na jutro.

Wychowanie polityczne winno nauczyć inteligentów, a za nimi i resztę ludności,

*) Patrz: N. 3 „Zaczynu".

dziś zajętej „poważnie" Hiszpanią i abdykacją króla Edwarda, że sprawy polityki zewnętrznej należą jak i sprawy armii i jej gotowości bojowej, do rzeczy 1-o najtrudniejszych i wymagających przygotowania ogólnego i specjalnego, 2-o że polityka państwowa musi być tak jak i sprawy armii tajna i niedostępna nie tylko dla wrogów i obcych, ale i dla tych wszystkich wewnątrz kraju, którzy nie biorą udziału w realizacji planów państwowych.

O naiwności polskiej i braku zrozumienia tego czym jest tajemnica państwowa wspominał w jednej z mów Józef Piłsudski.

Co to jest **Intelligence Service** i w ogóle różnoraka służba wywiadowcza o tym ćwierkają, co prawda, wróble u nas, lecz tylko po wróblemu. W Polsce ludzie najinteligentniejsi nie rozumieją wagi ani tajemnicy wiadomości państwowej i plotkują na tematy z punktu widzenia państwowego nie dozwolone.

Ile takich niedyskrecji i złego urabiania opinii zaszkodziło nam ongiś i w jakim stopniu naszej polityce zagranicznej — lepiej dziś o tym nie mówić.

Przyszłe pokolenia wychowane państwowo uważać to będzie za dławiący koszmar przeszłości.

Jak dalecy jesteśmy od przygotowania psychicznego społeczeństwa na wypadek wojny, jak niewychowani politycznie tego dowodzi ogólne przeświadczenie, że plany działań państwowych winny być przedstawione ogółowi i dyskutowane na łamach prasy publicznej.

Nie, szanowna publiczności, panowie dziennikarze! Musicie nauczyć się tej zdawałoby się tak prostej podstawy działalności publicznej, że sprawy państwowe najodpowiedzialniejsze i najważniejsze nie należą do tematów rozważań publicystycznych i dziennikarskich.

Natomiast nieodzownym warunkiem przygotowania należytego do wszelkich, często zmiennych kolei losu podczas wojny i przed wojną jest wychowanie polityczne, państwowe: uczy ono nie tylko patriotyzmu, niezbędnego dla momentów wielkich, zrywów energii, lecz ubezpiecza stały wysoki poziom wysiłków intelektualnych, organizacyjnych i wykonawczych, niezbędnych dla utrzymania potencjału militarnego i wogóle państwowego na poziomie, gwarantującym bezpieczeństwo i suwerenność Polski.

My, państwowcy, żądamy wychowania politycznego zarówno dla funkcjonariuszy państwowych, jak i sfer inteligeckich a nawet półinteligenckich, aby kierownictwo państwowe mogło w najkrótszy, najcelowszy i najściślejszy sposób przekazywać instrukcje i nakazy, tyczące się wykonywania planów państwowych bez potrzeby każdorazowego tłumaczenia ich nieprzygotowanym, myślącym niestety dziś u nas, kategoriami społecznymi, funkcjonariuszom państwowym i tym wszystkim ze społeczeństwa szerszego, którzy winni spełniać określoną i celową rolę państwową.

Rola publicysty myślącego państwowo sprowadza się do ujawnienia konieczności takiego wychowania państwowego i do naświetlania bieżących spraw i zagadnień pod tym kątem widzenia. Niestety w Polsce jest to nowością. Właśnie zagadnienia związane z „wojną" są na tyle jasne i ścisłe aby „na wizji wojny" można oprzeć rewolucję psychiczną, która może zmusić społeczeństwo do porzucenia dotychczasowego „społecznego" ujmowania najważniejszych dziś zagadnień, mieszczących się pod wspólną nazwą: „Obrona Państwa" i do przejścia do myślenia państwowego.

Nie ma dziedziny produkcji, organizacji życia i psychiki, która by nie nabierała innego charakteru, gdy się ją rzuci na tło wizji wojny.

Tutaj już nie można zastąpić frazesami patriotycznymi pogotowia materiałowego, nie można mówić o szczegółowych zabiegach grup czy grupek społecznych, gdy trzeba urobić specjalną psychikę narodu, aby był zdolny do mobilizacji swych sił i do wytrzymania zmiennych kolei wojny — na froncie i w warsztatach gospodarki wojennej.

Dynamizm państwowy to nie wiec, nie pochód, czy pielgrzymka. Nie wygada się, nie wyśpiewa ani wymodli przemysłu wojennego, ani środków komunikacji, czy dobrej aprowizacji.

Organizacja państwowa jest organizacją realizatorską. Musi ona być oparta o wychowanie państwowe narodu, gdyż inaczej nie ma komu powierzyć wykonania funkcji państwowych niezbędnych dla osiągnięcia wysokiego potencjału militarnego.

Wojna — to egzamin państwa. Przegraną płaci się suwerennością. Przygotowanie zaś zwycięstwa można realizować tylko **przez bezkompromisowe myślenie i wolę państwową.**

Największym wrogiem wewnętrznym podczas wojny jest defekt wynikający z braku wiary w państwo i jego przygotowanie militarne, największym wrogiem w okresie przedwojennym — brak wychowania politycznego, który nie pozwala widzieć zjawisk pod znakiem „wojny".

W rozważaniach naszych, choć nie zawsze o tym mówimy, zawsze staje przed nami wizja wojny.

Widzimy w ten sposób i sprawy i ludzi: przemysł i aprowizację, jak również ludzi i tych, co będą w okopach i w liniach bojowych, jak i tych co poza frontem będą wykuwali oręż dla zwycięstwa.

To też wiele poczynań typu społecznego i grupowego, wiele walk pomiędzy grupami przedstawia się nam jako szkodliwe dla państwa a nawet antypaństwowe w świetle wizji „wojny", gdy „pokój" pozwala a nawet podnieca takie „niewinne" walki, dezorganizujące życie i uniemożliwiające planowe przygotowanie się do wojny nieuniknionej w dziejach dzisiejszego świata. (1939)

RUCH I PROGRAM

Pisaliśmy już poprzednio o niepohamowanym rozpędzie twórczości w wielkiej epoce kultury europejskiej jaka zapanowała po wojnie światowej. Twórczość buduje, ale i twórczość zmienia, a nie ograniczając się do działalności negatywnej, która jest zresztą też swoistą twórczością, przechodzi ponad głowami tego, co wczoraj było nowe a dziś jest stare. Mamy więc do czynienia przede wszystkim z dwoma zasadniczymi zjawiskami w panującym świecie: z dynamiką i statyką, które stanowią jądra dwu odrębnych układów.

Pierwszy z nich tętniący życiem i ruchem składa się z chaosu wiecznie rodzących się twórczych teorii, których charakterystyczną cechą jest to, że każda poprzednia nie obowiązuje następnej, nie ma bowiem ani jednej zasady, ani jednego t. zw. prawa, które potrafiły by z poprzedniej fazy twórczości przewidzieć i wyprowadzić każdą następną.

Drugi zaś segreguje, ostemplowuje i szufladkuje otrzymane rezultaty i za każdym razem nastawia się wrogo do tych nowych i wielkich teorii, które jednym zamachem cały ten zbiór przekreślają i spychają tam, gdzie krząta się i grzebie w nagromadzonych skarbach wiecznie zaaferowana staruszka — historia, szukająca prawdy, której nigdy znaleźć nie może. Obok niej kroczy dumnie stare pannisko — tradycja, bezpłodna a nadęta przedawnionymi pretesjami do świata, tradycja nieżywotnych skamieniałości.

Nic więc dziwnego, że pulsujący wewnętrzną treścią układ dynamiczny, o którym nie definiując go można tylko powiedzieć, że jest zawsze zwycięski a nieobliczalny, musi posiadać charakter rozsadzający w stosunku do skrzepłych już własnych, wczorajszych koncepcji, które automatycznie przechodzą do świata ginącego, martwego.

Na tle tak uchwyconych zasadniczych i podstawowych układów, w których mieszczą się „rzeczywistości" powstających i ginących światów, wyznaczyć musimy rolę i stanowisko programów politycznych, o których prawo panowania toczą się zwykle boje ciężkie i namiętne.

Każdy program, niezależnie od tego przez kogo jest reprezentowany, ma tę zasadniczą cechę, że raz już zbudowany z kilkunastu zagadnień rozwiązanych na amen przez kilkanaście teorii, w myśl swych najwyższych przesłanek ideowych wchodzi automatycznie do układu statycznego, niewzruszalnego, mimo nawet pozornej korekty, lub dopełnienia, jakie się w czasie mogły dokonywać. Abstrahując od tego, w jakiej płaszczyźnie teoretycznej zostało postawione poszczególne zagadnienie, będące wyodrębnionym elementem danego programu, oraz jakimi środkami metodologicznymi zostało ono rozwiązane przed okresem właściwej realizacji, trzeba stanowczo podkreślić, że nawet najlepiej pod względem ścisłości opracowany program nigdy nie zdoła zabezpieczyć całkowicie swej aktualności, nigdy bowiem nie może on dać gwarancji, iż pewnego dnia, dziś lub jutro, nie zjawi się coś, co nagle pozbawi wartości i uczyni z rezultatów w całej, dotychczasowej pracy nad szczegółowym rozpracowaniem części programowych rzecz nieistotną. W jaki sposób *nowe* może rzucić do lamusa zagadnienia i rozwiązania przeszłości dobrze ilustruje Irzykowski, który mówi, że na nic się nie zda wielka, kilkutysięczna literatura szachowa, z chwilą gdyby wprowadzono dodatkowe pole na szachownicy, albo zmieniono ruch konia, czy też pionka.

W dotychczasowej konstruktywnej pracy intelektualnej, uznając niemo istnienie twórczości ludzkiej, wzięto za punkt wyjścia rzeczywistość daną bezpośrednio, w której należało przeprowadzać detektywistyczną analizę, wyłapywać pseudoprawa

i tymi „prawami" organizować świat, czyli ujmować go na tłach stworzonych przez siebie pojęć i zamknąć w ramy zbudowanego programu. Ale posługując się własną imienną twórczością, nie uwzględniono niespodzianki, jaką nosi w sobie bezimienna, ogólno-ludzka twórczość, która nie wyznacza dla swego ekspanzywnego wybuchu ani dnia, ani godziny, nie uprzedza o swym dynamicznym pojawieniu się, ale rzuca nagle oszołomionym nowe zagadnienie lub kompleks zagadnień nowych.

Zaskoczeni i oszołomieni nie mając odpowiedniego przygotowania i nastawienia psychicznego tracą orientację i upierają się przy swoich starych koncepcjach, określając nowe warunki i nową rzeczywistość „kryzysem", „stanem przejściowym", „załamaniem się" i t. p. Zaczyna się wówczas czekać aż się osiągnie „dno kryzysu", po czym ma nastąpić znowu powrót do dawnych zagadnień i rozwiązań a przez ten czas zabawiać się bezpłodnym tłumaczeniem, dlaczego tak się stało a nie inaczej i kto jest temu winien. Nazwanie dziejowych przemian „kryzysem", „katastrofą", czy innym epitetem nie zmieni faktu, że właśnie w tym momencie dokonało się wielkie ujście bezimiennej twórczości, która dla jednych stała się zbawienną, ponieważ umieli skierować jej aktywność w łożysko dla siebie pożądane, dla drugich klęską, albowiem uznając wyjątkowość zdarzenia ograniczyli się do przeczekania „okresu przejściowego" i chęci powrotu do dawnych warunków. Ta niespodzianka, jaką nosi w sobie nieokreślona ogólna twórczość, stanowi bardzo wielkie niebezpieczeństwo dla układów programowych, ponieważ konstrukcja ich, nie mogąc dokonać się pod kątem nieznanego, musiała realizować się tak, jakby to rozsadzające zakończenie nie mogło powstać w przyszłości. Dla tego też programy, posiadające zagadnienia i cały szereg wyrobionych teorii realizacyjnych, musiały uzyskiwać cechy statyczności, inaczej bowiem nie były by programami niejednokrotnie szczycącymi się swoim długowiecznym trwaniem.

Jeżeli więc teraz zestawimy dynamizm możliwej a teraz nieznanej twórczości ze statyką programu, jeżeli przypomnimy sobie jak gwałtowne przejawienia się twórczości w formie całego szeregu zagadnień w okresie 4-letniej wielkiej wojny, odrzuciły na bok liczne całości programowe państwowo-społeczne i prywatno-indywidualne, wówczas mogłaby nasunąć się myśl o niecelowości budowania programu. Otóż tak nie jest. Albowiem można rozwiązać sprawę, nie biorąc za punkt wyjścia samego programu jako takiego (jak to robią wszystkie stronnictwa polityczne) właśnie ze względu na jego statykę lecz coś innego, co nie jest statyczne i łamliwe, ale giętkie i wchłaniające, coś, co pozwoli ubezpieczyć akcję, a raczej wykorzystać każdą siłę twórczą, pojawiającą się niespodzianie na świecie lub we własnym kraju. To „coś" musi posiadać charakter ponad programowy, narzędnej dominanty, musi nim być krótko mówiąc ruch umysłowy, który będąc z natury rzeczy elementem dynamicznym, pozbawionym sztywności, potrafi zużytkować każde świeże pojawiające się okoliczności dla celów będących promotorem działania ogólnego. Dlatego też najważniejszą rzeczą jest wywołanie takiego ruchu umysłowego, który rozwijał by się w ciągłym tworzeniu i stawianiu zagadnień, składających się na program od nowopowstałych i nieprzewidzianych warunków mogących powstać w okresie wielkich możliwości, który świat wraz z nami przeżywa.

Konkludując zatym, stwierdzamy, że nieodzowny jest stały i żywy ruch umysłowy, który nie pozwoli na to, aby państwo w ważnym momencie dziejowym zostało z przestarzałym programem i przestarzałymi środkami realizacyjnymi. Ubezpieczyć się bowiem od niespodzianki można tylko wtedy, jeżeli szybko i zdecydowanie potrafi się ją wyzyskać dla najżywotniejszych interesów państwa. (199).

ARTYKUŁ DYSKUSYJNY

KLUCZ POZYCJI*)

NASZE DZIŚ

Gigantyczny międzynarodowy mecz XX wieku o mistrzostwo świata powoli lecz nieustannie zbliża się do punktu kulminacyjnego, gdy najsłabsi partnerzy bezwzględnie i bezapelacyjnie zostaną wyeliminowani z dalszych rozgrywek. Wszyscy ci, którzy do chwili decydującego obrachunku zdobędą mniejszą ilość punktów niż wynosi konieczne minimum stracą wszystko; nie tylko punkty posiadane dotychczas, ale nawet możność dalszego ich zdobywania chociażby najcięższą pracą. A obliczenie minusów i plusów każdego z narodów, który weźmie udział w decydującej rozgrywce, na tablicy historii pisane będzie krwią!

Wiele czynników składa się na zdobywanie punktów w międzynarodowym wyścigu pracy. Pozycja gospodarcza — wielka wytwórczość dóbr i usług, silne podstawy rozwojowe i sprawna organizacja życia gospodarczego. Wysoki poziom kultury moralnej i materialnej mas. Dalekowzroczna, mądra i sprężysta administracja. Uregulowane stosunki socjalne. Potężna armia. Zabezpieczenie stanu posiadania na ziemiach kresowych. Mądry system wychowania całego narodu. Wysoki poziom wiedzy i potężna twórczość naukowa. Wszystko to składa się na pozycję państwa w świecie, na jego bezpieczeństwo i na jego szybki, nieprzerwany rozwój. Wszystko to przysparza punktów koniecznych do zwycięstwa lub do zajęcia poczesnego miejsca na arenie dziejowej.

*

Polska do roku 1936 nie dotrzymała tempa.

Wymownie mówią o tem cyfry.

Wskaźniki produkcji przemysłowej porównawcze za lata 1929 i 1935 dają: dla Finlandii 125, Rumunii 120, Węgier 110, Estonii 106, Polski... 66.

Handel zagraniczny w złotych na głowę ludności w 1935 r.: Dania 780, Austria 307, Czechosłowacja 205, Estonia 189, Węgry 148, Litwa 100, Rumunia 68, Bułgaria 66, Polska... 53.

Dochód netto gospodarstw włościańskich, najlepiej charakteryzujący poziom życia i siłę nabywczą rolników. Porównywując rok 1935 do roku 1929 dla poszczególnych krajów otrzymamy cyfry: Finlandia 94, Estonia 93, Łotwa 80, Polska... 16. W tym samym porównaniu zużycie nawozów sztucznych: Estonia 183, Łotwa 142, Finlandia 112, Polska... 38.

Przemysł — handel — rolnictwo.

Cyfry te obliczał jeden z naszych podsekretarzy stanu i ogłosił. Może one nie są zbyt ścisłe, ale nawet poprawka o kilkanaście procent na plus, nie zmieni ogólnego obrazu, który jest przerażający.

A bezrobocie? Chwalimy się tym, iż jest ono mniejsze niż w krajach zachodnio-europejskich. Liczymy je zaledwie na setki tysięcy (dyskretnie tylko przemilczając jaki to stanowi % w stosunku do ogólnej liczby zatrudnionych). Dodajmy jednak do tych paruset czy kilkuset tysięcy bezrobotnych „zarejestrowanych" tę około 5 milionową masę zbędnych par rąk roboczych na wsi, która równie często przymiera głodem, jak ci „urzędowi" bezrobotni. Otrzymujemy cyfry, które w skali stosunkowej, a częściowo i bezwzględnej — biją światowe rekordy.

Straszliwa nędza mieszkaniowa po wsiach i miastach (pomimo ogromnej obfitości krajowych materiałów budowlanych), brak melioracji (pomimo przeludnienia), brak gęstej sieci komunikacyjnej i energetycznej, demokratyzacja kraju — dopełniają nad wyraz ponurego obrazu naszego gospodarczego oblicza, oblicza nędzy i upadku.

W dziedzinie kulturalnej jedno zestawienie starczy za wszystko. 1.000.000 dzieci bez dostępu do szkół powszechnych, a równocześnie przeszło 15.000 bezrobotnych nauczycieli.

W dziedzinie naukowych badań — sytuacja podobna. Nędza naszych placówek naukowych i instytutów badawczych, nie ma sobie równej w żadnym poważniejszym kraju Europy. Nie znaczy to dla Polski nic, że przy olbrzymim przyroście ludności, braku nawet najniezbędniejszych surowców i wprost fatalnej strukturze bilansów płatniczych, — do rozwiązania najbardziej palących zagadnień pozostaje nam jedyna droga: fanatycznego popierania naukowej twórczości.

Niewiele nas nauczyły zagraniczne zakłady. Umiemy tylko z paradą obchodzić rocznice placówek, którym na codzień ledwo starczy na wegetacyjne życie.

Zdawałoby się, że w takim kraju jak nasz, który istnieje na pograniczu dwuch potęg reprezentujących najlepiej może w świecie zorganizowane mechanizmy państwowe, administracja publiczna stanie się organem, który będzie wzorem dla wszystkich innych dziedzin życia, przykładem i szkołą doskonałej organizacji, spoistości, energii i sprężystości, pobudzicielem i koordynatorem każdej pożytecznej inicjatywy, motorem wszelkiego postępu i na wielką skalę twórczego wysiłku, — z roku na rok w sensie dodatnim zmieniając oblicze naszej Ojczyzny. Nie inną jest rola administracji i w Niemczech, w Italii, w Japonii.

Nie da się powiedzieć w kilku zdaniach, a nawet na kilku stronicach, jaką powinna i może być administracja, spełniająca naprawdę twórczą rolę godną wielkiego i nowoczesnego państwa. Wymaga to oddzielnego, gruntownego opracowania. Ale i bez długich rozważań stwierdzić nietylko można, ale i dla dobra sprawy trzeba, że nasza administracja w przeważnej większości wypadków nie dorosła do wysokości zadania. Na licznych polach swej pracy, administracja ta nie jest sprężystym i świadomym swego celu organem budowania potęgi państwa, lecz ociężałą i ospałą biurokratyczną maszyną, pozbawioną twórczego ducha i woli czynu. I jeszcze wielokrotnie się zdarza, że tam, gdzie tylko administracja mogłaby pchnąć życie naprzód, biurokracja pod pozorami urzędowego porządku, konieczności formalnych i różnie komentowanego prawa — hamuje postęp, gniecie inicjatywę i realny dorobek ludzi, zabija w nich chęć do konstruktywnej pra-

*) Patrz: N. 3 „Zaczynu".

cy i demoralizuje, — pomniejsza, gnębi i niszczy prawdziwą zdolność i twórczość.

Czyż jednak lepiej jest w społecznych stowarzyszeniach, w niezliczonych grupach i grupkach, i w politycznych partiach? Jednym słowem, w tych organizacjach, które od administracji publicznej są zupełnie niezależne; które mają wszelką swobodę stworzenia sobie swego wewnętrznego systemu pracy na miarę własnych możliwości, potrzeb i zdolności; które zajmują się bardzo poważnymi problemami i pracami, przede wszystkim zaś kontrolują administrację publiczną, wytwarzają nastroje, organizują życie zbiorowe i wychowują społeczeństwo; które wreszcie administrację publiczną często namiętnie krytykują lub wręcz zwalczają.

Krytykując maszynę państwową za jej małą produktywność, dzisiejsze społeczne grupy i organizacje w Polsce są często same zaprzeczeniem tego, co decyduje o prawdziwie twórczym i konkretnym dorobku w dziedzinie realizacyjno-gospodarczej, organizacyjnej, wychowawczej, bądź w dziedzinie tworzenia nowych idei i myślowych wartości. Zamiast pracy realnej i konkretnej — najczęściej, dominują puste frazesy i płytka frazeologia, a często nawet najgorsza demagogia obliczona na najmniej myślące mózgi i na najniższe instynkty ludzkie. Zamiast pracy sprężystej i wydajnej, te organizacje które zajadle szydzą z ciężkiej i niedołężnej biurokracji, same wykazują wprost beznadziejny brak wyrobienia organizacyjnego, niedołęstwo, bezwład i brak zdolności do konstruktywnej pracy. Zamiast stać się ośrodkiem selekcji umysłów twórczych i realizatorskich, a także wielkimi szkołami pionierskich charakterów — wielka część społecznych i politycznych organizacji demoralizuje lub niszczy najbardziej wartościowe jednostki, a pozwala wybijać się bądź utrzymać w poziomie demagogom i urodzonym pieniaczom, albo oportunistom i ociężałym, zgranym, ale za to „uznanym" autorytetom.

Niewątpliwie, istnieje szereg organizacji, które pracują z ogromnym wysiłkiem i oddaniem się swych członków sprawie, i których dorobek jest realny i wcale pokaźny (inna sprawa, czy ostateczny wynik ich pracy jest współmierny do włożonych materialnych i moralnych nakładów). Nie zmieni to jednak ogólnego obrazu pracy społecznej w Polsce, która obejmuje olbrzymi i niezmiernie odpowiedzialny zakres działania: organizując młodzież, wydając czasopisma, prowadząc cały szereg prac specjalnych i wogóle wychowując zwłaszcza dorosłe społeczeństwo. Albowiem przy propagowaniu nawet najszlachetniejszych i najbardziej godnych poparcia idei, organizacje te najczęściej nie zdają sobie same sprawy z tego, że działalność ich, źle pojęta, na niewłaściwej metodzie i złym typie myślenia oparta, przynosi państwu, społeczeństwu i ich własnym ideom więcej szkody niż pożytku, idee te rozmienia na drobną monetę i frazesy, poprostu deklasuje, rozkłada i niszczy. W ostatecznym rezultacie idee przestają mieć prawdziwą wartość, przestają rządzić ludźmi, o czynach których decyduje nadal krótkowzroczny, małostkowy interes.

Fakty potwierdzają słuszność tej charakterystyki. Niesłychane polityczne i organizacyjne rozbicie. Chaotyczność i płynność organizacji, społeczeństwa. Ogólne pomieszanie pojęć, zakłamanie i nagminne ideologiczne plagiatorstwo. A tam gdzie panuje stałość form i poglądów, — ciasne doktrynerstwo, straszny konserwatyzm i skostniałość — drugi biegun płynności, jest miernikiem ideowego wyjałowienia.

Oto jest przekrój „naszego dziś", naszej dzisiejszej polskiej rzeczywistości, na ponurym tle której jedynie jasną plamą jest armia, która zarówno swoją postawą jak i organizacją przoduje wielu wybitnym nawet armiom świata. Niestety, materialna i moralna nędza całego naszego życia nie jest w stanie dać dla tej armii dostatecznie mocnego oparcia i to ją niepomiernie osłabia.

A teraz jeśli wszystkie pasywy i aktywy naszej pozycji w świecie ułożymy w wielki bilans Polski na rok 1936, saldo tego bilansu w zestawieniu z bilansowym saldem naszych współzawodników powie nam, iż w życiu naszym byli jacyś straszni winowajcy, ludzie winni największej zbrodni — zmarnowania potencjalnej potęgi państwa polskiego.

*

Ustalenie ścisłej odpowiedzialności za obecną sytuację Polski jest dziś szczególnie palącą sprawą. Bez jasnej świadomości gdzie leży przyczyna zła, jego najgłębsze źródło, które zatruwa nasz organizm i paraliżuje jego twórczą energię, nie potrafimy wyrwać tego zła z korzeniami, pchnąć całego naszego życia na nowe tory. Wszelkie posunięcia, jeśli nie sięgną do tego źródła sprawy, będą stanowić tylko doraźne poprawki, marną łataninę bez decydującego wpływu na naszą całą przyszłość.

I nie wolno powiedzieć, że odpowiedzialności za rozwój życia niepodległej Polski przez przeciąg lat kilkunastu nie da się ustalić, że jest to „splot przyczyn", że „są to rzeczy trudne i niezależne", że „jest to wynik wojennego zniszczenia", „długotrwałej niewoli", że „winien jest kryzys międzynarodowy". Nie chodzi tu nam o żadne historyczne dociekania. „Nasze wczoraj" miało znaczenie tylko dla naszego „wczorajszego punktu wyjścia". Chodzi nam o „nasze dziś" i o „nasze jutro". Zaczynając od małego, nic dziwnego, że jesteśmy ubodzy i jeszcze za innymi w tyle. Ale dlaczego „nasze dziś" jest takie martwe, rozlazłe i bierne? Dlaczego „nasze jutro" jest tak ponure i ciemne?

„Padło i nigdy nie powstanie państwo liberalno-parlamentarne, w którym nigdy nie można było znaleźć winowajcy, któryby miał imię, nazwisko, miejsce zamieszkania...!" są to słowa Mussoliniego z 1926 roku.

„Musi paść i nigdy nie powstać ustrój, w którym nie ma odpowiedzialności określonej jednostki organizacyjnej bądź ludzkiej, za określone zagadnienie", są to słowa, którymi to pierwsze zdanie trzeba uzupełnić. „Walka z nieodpowiedzialnością wobec zła" musi być jednym z naczelnych haseł ludzi nadchodzącego ustroju jutra.

I w warunkach polskich jeśli się wniknie głęboko w nasz ustrój, w całość warunków naszego życia, w naszą psychikę i w warunki jej kształtowania, i jeśli się jeszcze zrozumie ponadto prawdziwy sens dziejowego procesu budowy potęgi państw i narodów, — wtedy stanie się zupełnie jasne, kto najbardziej ponosi odpowiedzialność za fatalną sytuację Polski dnia dzisiejszego. I niekoniecznie największymi winowajcami będą ci, w których opinia publiczna przyzwyczaiła się widzieć głównych sprawców stanu, który przeżywamy. I niekoniecznie wybieleni i niewinni wyjdą ci, którzy dziś traktowani są jako lumi- narze.

Niewątpliwie, bezpośrednią odpowiedzialność za losy państwa ponoszą i ponosić zawsze będą ci, którzy kierują państwem, jak również głównymi ośrodkami dyspozycji gospodarczej i społecznej. Sprawa zdawałoby się jest jasna i prosta. Pozostaje tylko wyciągnąć konsekwencje.

Ale tak jest tylko pozornie. Bo na kierowniczych stanowiskach w państwie, jak również (aczkolwiek rzadziej) w życiu gospodarczym ludzie się ciągle zmieniali, zmieniają i nadal zmieniać będą. Bo każde stanowisko jest ściśle związane z niewielką ilością innych, współpółzależnych wyższych i niższych stanowisk, a wszędzie ludzie przychodzą i odchodzą. Uchwycenie personalnej odpowiedzialności za ogólne kompleksy zagadnień jest więc niezmiernie trudne, lub zgoła niemożliwe, z wyjątkiem i to tylko częściowo stanowisk, gdzie przez wiele lat nie było żadnych przesunięć. Inni są raczej tylko o tyle winni, że obejmowali posterunki po to, aby wkrótce z nich odejść i że wogóle podejmowali się pewnych zadań, bez możności bądź umiejętności ich rozwiązania.

Ale w takim razie można ustalić wyraźną odpowiedzialność określonej grupy bądź grup ludzi, za tak nieudolne spełnianie funkcji kierowniczych, w określonych dziedzinach? Częściowo to jest możliwe, ale to również będzie bardzo mętne i nieścisłe, zwłaszcza wobec wspomnianej wyżej „płynności" większej części naszych ugrupowań, które łączą przeważnie nie zasadnicze systemy idei, lecz tylko ogólne hasła i czasowe powiązania interesów.

Albowiem ludzie na stanowiskach kierowniczych w państwie i w życiu gospodarczym są w niezwykle wysokim stopniu zależni, jeśli nie od najszerszych mas ludności kraju, jak to się dzieje w państwach liberalno-parlamentarnych, to w każdym razie — od szerokiej rzeszy bezpośrednich wykonawców swoich rozkazów oraz od licznych sztabów współpracowników.

W państwie o silnej władzy nie decyduje ta opinia, która się kształtuje na ulicy, ale tym niemniej opinia fachowej elity wywiera zawsze wpływ ogromny, chociaż niekiedy pośredni, na główne centra kierownicze. A jeżeli zanalizujemy dokładnie obecny system myślenia intelektualnej elity polskiej, przynależnej do wszystkich kierunków politycznych, oraz zbadamy przemiany jakie ona przechodziła w ciągu ostatnich lat kilkunastu, to się przekonamy, że posiadała ona te same wady i braki jakie przypisuje zespołom bezpośrednio kierowniczym. Brak głębokiego poczucia zasadniczej linii polskiej państwowej racji stanu; brak zdolności do skonkretyzowania swoich dążeń po tej linii idących; niesłychany myślowy konserwatyzm i bierność; brak śmiałej inicjatywy a równocześnie przesadny indywidualizm podniesiony omal że nie do godności „szczególnej zalety ducha polskiego" (tylko że bez konsekwencji czynów); a między innymi — brak szacunku dla twórczości i nieumiejętności odróżniania prawdziwej zdolności od frazeologii, demagogii, przeciętności lub nieudolności zupełnej — czyż nie są to błędy w konstrukcji myślowej większości polskiej elity?

W tych warunkach to, co np. w technice byłoby nie do pomyślenia — zaprojektowanie przez kogoś konstrukcji zupełnie niezgodnej z zasadami nowoczesnej techniki — zwróciłoby to bowiem uwagę wszystkich wykształconych w tym zawodzie techników, którzyby głośno i rzeczowo zaprotestowali lub poprostu wyśmiali — to w życiu gospodarczym i całego państwa przechodzi często bezkarnie. Stosunkowo drobna sprawa jest przez przeciwników rozdmuchana często do rozmiarów skandalu, prawdziwie skandaliczne sprawy gospodarcze, organizacyjne i wychowawcze — nie zwracają prawie niczyjej uwagi. Brak teorii i jednolitych norm w układach wyższego rzędu, a zwłaszcza pełnej teorii nowoczesnego państwa, oraz brak wychowania w tym systemie myślenia elity intelektualnej, mści się na życiu państwa w sposób bolesny i nie można ani określonej osoby, ani pojedyńczej grupy czynić wyłącznie odpowiedzialną za coś, co stanowi błąd, niedorozwój i grzech całego szerokiego **ogółu.**

A niestety tam, gdzie wyłączną odpowiedzialnością nie można obarczyć żadnej jednostki czy grupy, odpowiedzialność ponosi całe pokolenie. Tak, jak za rozbiory Polski, odpowiedzialność poniosły ówczesne pokolenia szlacheckie, które straciły i nie umiały odzyskać polskiego klucza pozycji.

*

Są jednak winowajcy dzisiejszej sytuacji państwa Polskiego. Jeśli nie działający

świadomie — to sprawcy mimowolni. Jeśli nie bezpośrednio — to pośrednio ponoszący odpowiedzialność za to, co i jak się w Polsce myśli i dzieje. Bo bieg myśli zawsze wyprzedza bieg życia. I kto nie potrafi kształtować biegu myśli ten nie potrafi i sterować wypadkami.

Winowajcami są ci, którzy 18 lat temu, a także ktokolwiek przed tym i po tym wzięli na siebie ochotniczy bądź zawodowy obowiązek kształtowania umysłów i charakterów młodego pokolenia polskiego, a zwłaszcza jego przodowniczej kadry.

Winowajcami są ci, od których tylko zdolności i woli zależało, aby już dziś, po 18 latach niepodległości „klucz pozycji" był ostatecznie zdobyty i aby poprzez mózgi swej elity intelektualnej, Polska już była pchnięta na drogę wspaniałego rozwoju, przy pomocy uruchomionych na nowo milionów rąk roboczych, z roku na rok zdobywając pozycję po pozycji, do prawdziwej wielkości, do mocarstwowego stanowiska w świecie, na jakie zasługuje europejskie państwo 34 milionowe.

18 lat, to jest w okresie nowoczesnym ogromny przeciąg czasu, zupełnie wystarczający na to, aby odzyskać „klucz pozycji" stracony przed wiekami, zniszczyć w umysłach młodego pokolenia te najgłębsze ślady niewoli i na to miejsce zbudować nowy twórczy typ człowieka; a potem pchnąć tego nowego (a nie tylko „młodego") człowieka do administracji, do życia gospodarczego, do oświaty powszechnej i do pracy społecznej w najszersze masy. Mniejsza o drobne różnice społeczno-poglądowe. Gdyby tylko ogólny pion myśli był zgodny z interesem stanu, poziom — wysoki, a rozwój myślowy — szybki i nieustanny, ogólny wynik takiej działalności już dziś byłby dla państwa niezwykle doniosły. Stwierdziłyby to i cyfry, i nasze własne oczy, i postawa wobec nas całej Europy. A nasza armia miałaby w kraju mocne i twarde oparcie.

Że tak do dziś dnia nie jest pomimo 18 lat pracy w państwie niepodległym największą odpowiedzialność ponoszą ci, którzy nie spełnili swojego zasadniczego zadania — należytego wykształcenia i wychowania nowego pokolenia.

A wina ich jest tym większa, że w swojej twórczej (czy też nietwórczej) pracy myślowej nie byli zdeterminowani niczym i przez nikogo. Tylko od ich kierunku i napięcia myślowego zależało, aby młoda generacja otrzymała ten a nie inny system myślenia. I tylko od ich woli było zależnym, czy nowe pokolenie polskie potrafi i będzie umiało robić to, co mu jest istotnie potrzebne do pracy i do życia na polskiej ziemi; i czy wniesie w to życie twórczego i pionierskiego ducha, a też radość życia płynącą z wiary we własne siły i z pewności wielkiej zbiorowej przyszłości.

A jeśli ludzie ci nie czuli się w pełni na siłach do spełnienia tak wielkiego i ciężkiego zadania — przebudowy przez młodzież psychiki Polski, to czemuż nie uderzyli na alarm i nie pośpieszyli się w doborze i w wychowaniu nowych bardziej twórczych współpracowników? A jeśli nie mogli podołać zupełnie tej pracy i nie mogli uzyskać znikąd pomocy, czemuż poprostu nie ustąpili pola innym, zdolniejszym i mniej zużytym ludziom.

Naczelne wolne ośrodki dyspozycji myśli w Polsce oraz główne centra wychowania elity nowych pokoleń — dobrze wiemy gdzie się znajdują. Tam, gdzie młodzież siedzi nad książką i gdzie się młodzież „oficjalnie" oświeca i wychowuje. Szkoły. I im szkoła jest wyższego szczebla, tym ważniejsza jest jej rola i wpływ na przyszły bieg życia.

A drugi typ dyspozycyjnego centrum — to ośrodki społecznej pracy zbiorowej, gdzie w myśl określonych interesów i haseł, pod kierownictwem imperatywnych czy też poprostu krzykliwych jednostek, gromadzą się tłumy i uważnie słuchają, często ślepo wierzą w to, co im mówią przywódcy i kierowana przez nich prasa. Stowarzyszenia społeczne, zawodowe i partie polityczne. I im organizacja jest wyższego rzędu, tym większy wywiera wpływ wychowawczy na młodzież i całe społeczeństwo, tym większą ma możność tworzenie nowych myśli i — idei, i tym większą możność śmiałego propagowania ich w całym społeczeństwie.

Jaki typ człowieka wychowuje dotychczas nasze średnie i wyższe szkolnictwo? Czy jest to typ nowy i zdolny do świadomego kształtowania nowego życia? Czy jest to erudyta, czy w całym tego słowa znaczeniu typ człowieka czynu? Czy jest to indywidualista i aspołeczny egoista, czy też jednostka społeczna? Jaki jest ideał wychowawczy naszej szkoły i czy go szkoła ta wogóle posiada?....

Uderzono wreszcie na alarm. Pierwszy gong odezwał się z początkiem 1931 roku. Wkrótce po tym rozpoczęła się w Polsce wielka reforma szkolna, która trwa aż do dzisiejszego dnia. Reforma szkolnictwa powszechnego, ogólnokształcącego średniego i zawodowego. Niedługo reforma ta będzie skończona zupełnie i jeśli nic nie stanie na przeszkodzie, a nastawienie przyszłych wykonawców odpowie nastawieniu twórców i współpracowników reformy — to nasze polskie szkolnictwo stanie się jednym z pierwszych w świecie.

I tu zaczyna się dramat. Pedagogów szkół średnich nadal wychowuje szkoła wyższa, podobnie jak wyższa szkoła kształci i wychowuje całą prawie elitę umysłową w państwie.

Czy nasze szkoły wyższe są wogóle pomyślane właściwie i kształcą we właściwej proporcji ludzi różnych zawodów? Czy przygotowują młodzież do rzeczywistych potrzeb kraju, a nie przeciążają zbędnym i szkodliwym pamięciowym balastem nie dając za to najważniejszych teorii? Czy skutecznie walczą z marnotrawstwem energii i czasu młodzieży i czy dbają o dostateczne wczesne wypuszczenie do życia praktycznego ludzi jeszcze młodych i niezużytych pracą nadmierną? Czy czynią jednostkę w całej pełni zdolną do tego życia praktycznego, do samodzielnej i twórczej pracy?

Na te wszystkie pytania, które przecież sięgają aż do samej istoty celu wychowania elity młodego pokolenia, nie można, dać odpowiedzi w kilku zdaniach, aczkolwiek odpowiedź ta, sama się do ust ciśnie... Za ważny jest problemat, aby go wolno było zbyć w paru ogólnikach.

Bo nie gdzie indziej, ale właśnie tutaj jest *trzon klucza pozycji naszego dziś.*

To czego nie robi w zakresie wychowania szkoła, bo albo nie umie, albo nie chce, to robią drugie centra pracy wychowawczej — organizacje społeczne. Czy spełniają to swoje zadanie? Czy zastępują zawodowy personel pedagogiczny tam gdzie nie może on spełnić zadań wychowawczych, i korygują go tam gdzie wykazuje błędy i braki? Czy wiele organizacji społecznych kształtuje nowy doskonalszy typ człowieka? Wiemy, że organizacje takie istnieją, ale jaki jest ich zasięg wobec milionów pozostałych jednostek? Odpowiedzi na te wszystkie pytania chyba nie potrzeba... Acha! Prawda! wychowawców naszych mas, wychowały nasze uniwersytety i nasz wczorajszy typ życia.

Naszym dziś płacimy za błędy i grzechy naszego wczoraj!

Jutro nasze takim będzie, jakim je przygotuje dzień dzisiejszy. Nasza ostateczna klęska lub wygrana w światowym meczu XX wieku zależy tylko od tego, czy jeszcze dzisiaj potrafimy przełamać błędną, chaotyczną, pozbawioną najgłębszej doktrynalnej podstawy, i stworzyć nową — linię kształtowania nowego człowieka.

Czy naszym jutrem płacić będziemy za nasze dziś? (123)

SPOŁECZEŃSTWO A BIUROKRACJA

Obserwacja pracy naszej biurokracji przynosi spostrzeżenia ujemne. Poglądy na zadania i cele funkcjonariuszy państwowych nie są wynikiem określonej myśli kierunkowej, lecz polegają po dziś dzień na zapatrywaniach indywidualnych. Jeszcze większe nieuporządkowanie istnieje w dziedzinie metod pracy urzędniczej i ustosunkowania się do funkcyj państwowych. Panuje tu duża ilość zdań i sposobów postępowania w sprawach państwowych zasadniczego nieraz znaczenia.

Brak jest też naszej biurokracji wyrobionego stanowiska, wyraźnej postawy społeczeństwa i czynników decydujących, kierowniczych, czyli t. zw. „góry". Znajduje się ona jakby w dwuch ogniach, z wyrobioną sobie zasadą: „keep smiling" (uśmiechnij się) zarówno w jedną jak i w drugą stronę, bo tak jest wygodniej i bezpieczniej.

Wynika stąd uzależnianie się od czasowo-przygodnych koniunktur, dogadzanie bezwolne wszelkim naciskom niepożądanym i szkodliwym. To sprawia, że biurokracja nie jest aparatem żywotnym i twórczym, zdolnym zmieniać istniejące warunki na nowe — sprzyjające rozwojowi państwa. Przeciwnie stacza się do roli automatu, przystosowującego się do okoliczności i ulegającego im.

Rozstrzygnięcie zagadnienia funkcjonowania aparatu biurokratycznego odpowiedniego do potrzeb państwa — i wprowadzenia właściwych metod pracy na wszystkich jego szczeblach, zależy niewątpliwie od określonego planu państwowego u nas nieistniejącego.

A nie jest do pomyślenia sprawne funkcjonowanie rozległego i zespalającego tak różnorodne dziedziny twórczości ludzkiej aparatu państwowego, bez istnienia wyraźnej linii kierunkowej w pracy biurokracji.

Gdy ukażą się wyraźne wytyczne, odpadnie dowolność, zniknie niezdecydowanie, ustępując miejsca świadomie twórczej działalności.

Takie postawienie zagadnienia przyniesie rezultaty pozytywne, przez daleko idące usprawnienie pracy realizacyjnej urzędników; uczyni z nich element dobrze i szybko pracujący.

Układ państwowy przez wytknięcie nowych i niezależnych zewnętrznie kierunków i sposobów pracy, wyrwie urzędnika państwowego z zaduchu statycznej martwoty. W połączeniu z wychowaniem wartościowego materiału ludzkiego, stworzy dla biurokracji nową rolę. Musi to być rola czynnika twórczego państwowo, umiejącego pracować celową metodą, ściśle zdążającą do realizacji postawionych zagadnień.

Urzędnik na stanowisku państwowym musi dobrze rozumieć swoją rolę i odpowiednio wykonywać zadanie powierzone mu do spełniania względem państwa.

Biurokracja nasza musi wydać nowy typ funkcjonariusza państwowego, stojącego na tak wysokim poziomie umiejętności teoretycznej i praktycznego działania, że potrafi obronić zajmowane stanowisko rozumową wykładnią planu państwowego. Nie znajdzie wtedy zastosowania łatwy, bo bez-

myślny sposób zasłaniania się suchymi paragrafami i obojętne wzruszanie ramion przed zakłopotanym obywatelem — jak to się zdarza obecnie.

Jest to moment bardzo ważny, jeśli chodzi o stosunek wzajemny społeczeństwa i biurokracji. Trzeba bowiem podkreślić, że działalność aparatu biurokratycznego, stwarza konieczność kontroli dwustronnej: od góry czyli czynników kierowniczych i od dołu to jest przez samo społeczeństwo.

Zajmiemy się rozpatrzeniem tej drugiej części zagadnienia kontroli, umiejscowionego właśnie na linii stycznej ,która powstaje tam, gdzie działalność funkcjonariuszy państwowych schodzi się bezpośrednio z działalnością społeczną. Na tym polu powinno dojść do pozytywnego postawienia zadań obopólnego współdziałania elementu społecznego i państwowych instancyj realizacyjnych.

Nie należałoby bowiem żadną miarą pozostawiać społeczeństwa, jako czynnika wyłącznie tylko oddanego własnym sprawom i dopilnowywanego, czy dobrze wywiązuje się ze swych materialnych obowiązków względem państwa. Nie można spychać społeczeństwa do roli o charakterze biernym. Wprost przeciwnie, sprawę tę należy traktować inaczej, niż dotychczas, kiedy szerokie masy obywateli, w stosunku do urzędników instancyj bezpośrednio stykających się z nimi, nastawione są często w gruncie rzeczy bezkrytycznie, uważając decyzje przez nich pobierane i ich metody postępowania za ostateczne i nieodparte. A równocześnie ustawy państwowe, których ocena wymaga dużego przygotowania teoretycznego i praktycznego, krytykowane są bardzo szeroko.

Należy odwrócić ten stosunek i wymienić role, dopasowując do określonego poziomu umysłowego, sprawy odpowiednio trudne i złożone.

Pojedynczy człowiek, czy grupa ludzi we współdziałaniu twórczym tym bardziej wydajne wyniki osiągną, im więcej do ich stopnia zdolności i możności zajęcia rzeczowo krytycznego stanowiska, będą się zbliżały postawione im zadania. Niewspółmierność bowiem zadań do możliwości umysłowych, czyni działalność bezprzedmiotową i nie wzbogaca o nowe pierwiastki.

Na stopniach aparatu biurokratycznego, pracującego w bezpośrednim zetknięciu z publicznością, utrzymuje się dotąd rozpowszechniony szczególnie na prowincji i na Kresach wygodny sposób załatwiania wszelkich spraw sztywnym systemem urzędowym. Polega to na roztoczeniu całego arsenału form nierealnych i nieistotnych, co związane jest z dużym zużyciem czasu na pracę niepożyteczną i obniża opinię o sensie pracy biurokracji.

Nowe metody pracy powinny zerwać z dotychczasowym „urzędowaniem" które stało się szablonem. Należy nadać pracy urzędnika charakter wartościowy, nieobwarowany żadnymi szkodliwymi przerostami. Funkcjonowanie aparatu biurokratycznego na płaszczyźnie, na której schodzi się on z ogółem obywateli, nie może być hodowlą klientów przychodzących jako sztuki istot nierozumnych, po (i tak trudne!) zdobycie stempla formalnie urzędowego. Natomiast winno być czynnością zawiązującą i szerzącą nowy stosunek wszystkich do państwa.

Chodzi o nowy stosunek, a właściwie związek oparty na rozumowych przesłankach, że urzędnik to nie najmita, odrabiający „kawałki", a żywy przedstawiciel państwa, jako czynnika nadrzędnego a jednocześnie bliskiego.

Urzędnicy pracujący dla rzeczy, nie dla osób i dla osobistych wyniesień, posiadający wysoki poziom poczucia ważności spełniania funkcji państwowych, spełniają rolę aktywną i twórczą, podnosząc autorytet państwa w oczach społeczeństwa. Stać się oni muszą przedstawicielami silnego, rozwijającego się państwa. (13).

Z ZAKRESU METODOLOGII MYŚLENIA PAŃSTWOWEGO *)

JEDNOSTKA A ZESPÓŁ

Jednostka — to nielada szkopuł filozoficzny. Całe tomy zapisano na ten temat i możnaby było drugie tyle zapisać, i nie móc operować tym słowem ściśle.

Zasadniczo mogą być dwa punkty wyjścia: albo uważać jednostkę za ośrodek całej działalności psychicznej ludzkości, a tym samym jako motor twórczości i kultury, bądź też rozpatrywać jednostkę, jako pochodną czy też twór kultury ludzkiej.

Pierwsze założenie opiera się na emocjonalnych momentach, które dają wrażenie jedności i całości jednostki.

Nie wiadomo coprawda, czy taką jednostkę od narodzin do śmierci należy sobie wyobrazić, jako zawiązek możliwości, czyli uważać dziecko już jako jednostkę ludzką, za predystynowane do tych czy innych działań, — czy za podstawę rozważań przyjąć człowieka ukształtowanego, czy też rozpatrywać jednostkę po zakończeniu jej różnorakiej działalności, po dokonaniu dzieła: „ja".

Wszystkie odmiany tego stanowiska filozoficznego prowadzą do poglądów indywidualistycznych i dążą do wyzwolenia jednostki z pod presji otoczenia, warunków, z pod rygoru więzi społecznych i państwowych.

Ideałem współżycia ludzi w tych „światopoglądach" jest największa wolność jednostki, jej swoboda, (wolność twórczości).

Najskrajniejszym wyrazem politycznym tych koncepcji filozoficznych jest anarchizm, który kryje się zresztą po bliższym rozpatrzeniu prawie we wszystkich ideologiach t. zw. liberalnych XIX wieku.

Dalej hołdują tym koncepcjom wszystkie teorie związane z życiem prywatnym i uczuciowym człowieka.

Przez szereg pokoleń wychowywano dzieci na Robinsonach, na samotnikach, na awanturniczych przygodach jednostki naszego pokroju cywilizacyjnego w środowiskach o innej kulturze, niż europejska. To dawało podstawę rodzicom i pedagogom do traktowania jednostki, jako indywidualnego niezależnego świata psychicznego.

Ten sam skutek wychowawczy wywołuje sztuka. — Operuje ona przeżyciami, wzruszeniami i wogóle całą skalą emocjonalną, tak, że jej wytwór czy efekt nie może być ściśle skwalifikowany a przez to staje się „indywidualnym".

Wszystkie takie przeżycia indywidualne, najróżniejszego pochodzenia i wartości, związane są oczywiście z określoną fizyczną osobą; otóż teorie indywidualistyczne uważają taką fizyczną jednostkę za ośrodek twórczy, jakkolwiek b. często widoczne jest, że takie czy inne wzruszenia wywołane są określonymi zewnętrznymi okolicznościami czy ideałami. Powiązanie niedozwolone pojęcia twórcy z pojęciem jednostki fizyczno-psychicznej powoduje, że zarówno teoretycy sztuki jak i artyści — wyolbrzymiają aż do karykatury niezależność twórców i ich dzieł, czyli niezależność sztuki.

Również i religie wychowuje indywidualnie. Podstawą przeżyć religijnych jest osobisty stosunek wierzącego do zjawisk, osobistym jest dążenie do doskonałości.

Każda religia wiąże człowieka z indywidualną odpowiedzialnością.

Drugim zasadniczym punktem wyjścia rozważań na temat jednostki jest ujęcie jej jako wytworu kultury ludzkiej, ściślej: instytucyj współżycia i wytwarzania dóbr kulturalnych oraz ich podziału. Tutaj musimy posiłkować się innym pojęciem, o wiele ściślejszym od jednostki, a mianowicie funkcją spełnianą przez człowieka żyjącego w społeczeństwie.

Najskrajniejszym wyrazem drugiego typu traktowania jednostki ludzkiej, to właśnie widzenie jej wyłącznie poprzez funkcje społeczne i teorie wywodzące jednostkę z warunków socjalnych.

Stąd teorie o klasach uprzywilejowanych wychowywanych do funkcyj kierowniczych i użytkujących więcej z dóbr kulturalnych, niż klasy przeznaczone do ciężkich funkcji wykonawczych uposażonych miernie lub źle.

W tym kierunku rozumowań poszły nowoczesne organizacje, regulujące współżycie ludzi i ich udział w pracy zespołowej. Najjaskrawiej traktują jednostkę ludzką pod znakiem funkcyj — państwa dynamiczne, które objęły swym zasięgiem organizującym całe społeczeństwo swych krajów.

Ideałem stało się wychowanie każdego obywatela pod znakiem funkcyj, z góry ustalonych, zmuszenie jednostki ludzkiej do wyżycia się wyłącznie w zakreślonych ramach, wyzyskania w największym stopniu sił i uzdolnień tych indywiduów według twórczych planów.

Starcie panującej w XIX wieku teorii jednostki wolnej z koncepcją funkcji społecznej — wykazuje nam dziś w przekroju świata — rozmaite stadia wzajemnego przenikania się, bądź ulegania dawnej teorii koncepcjom nowym, co odpowiada ogólnej linii kultury, zastępowania tego co stare tym co nowe. Ten schemat walki dwuch kierunków wyjściowych na temat jednostki ludzkiej, — może być jednak przezwyciężony, nie przez lepszą argumentację jednej ze stron, ale przez odrębne ujęcie zagadnienia.

Zauważmy, że każdy człowiek spełnia jedną lub wiele funkcyj w społeczeństwie, a poza tym odczuwa *osobiście* swoje przeżycia. Przeżycia te rozpadają się na dwa działy: jedne związane z funkcjami, drugie odnoszą się do życia porozbiorowego, a więc indywidualnego i po części rodzinnego.

Rodzina stanowi znów swoisty twór częściowo funkcjonalny, częściowo emocjonalny.

*

Wprowadzamy teraz nowy termin językowy, choć o brzmieniu starym — zespół.

Zespół może być rozmaitego typu: zespół pracy czy wytwórczości, zespół konsumcyjny czy podziału dóbr kulturalnych, zespół organizujący, zespół zawodowy i t. p.

Każdy z tych zespołów ma swoje zagadnienia, swoje metody i teorie realizacyjne.

Nas interesuje wartość terminu „zespół", który gra wielką rolę w rozważaniach państwowo-organizacyjnych, a mianowicie terminem tym oznaczać będziemy każdą twórczość lub realizację zagadnień o charakterze nieosobistym. Twórczość zespołowa dopiero pozwala na ujęcie terminu „kultura" w sposób na tyle ścisły, że słowo to przestaje mieć charakter emocjonalny, którym odznacza się w języku starym.

Otóż tak pojęta kultura staje się nadrzędną nad jednostką produkcyjną czy konsumcyjną; dopiero w tym ujęciu można mówić o wytwarzaniu przez kulturę określonych, czyli kulturalnych jednostek.

*) Patrz N. 3 „Zaczynu".

Jednostką kulturalną w tym języku będzie osobnik, który otrzymał określone wychowanie i wykształcenie, zezwalające na spełnianie funkcyj społecznych w sposób z góry określony.

W tym też znaczeniu może kultura wpływać i na stronę emocjonalną osobnika, narzucając mu obyczajowość określoną, a więc i reakcje określone na bodźce, też narzucane z zewnątrz.

Jasnym się teraz staje, że pewne teorie narzucane mogą tworzyć z jednostek określone zespoły zarówno produkcyjne jak i emocjonalne.

Zrozumiałym się staje i możliwym sam „fakt" panowania nad t. zw. tłumem, urabiania go, — i przewodzenia nim, użytkowania go w sposób pożądany, co nie da się w żaden ścisły sposób osiągnąć teoriami indywidualistycznymi.

W świetle nowego ujęcia nie tylko nie zanika t. zw. bogactwo przeżyć indywidualnych, lecz przeciwnie nabiera dopiero sensu, gdyż z tego założenia wynika możliwość nauczenia poszczególnych jednostek nawet takich „indywidualnych" tworów kulturalnych, jak odczuwanie dzieł sztuki.

W pięknych swych dialogach o sztuce Oscar Wilde powiada, że Thurner, sławny malarz angielski, nauczył nas widzieć piękno w zachodzie słońca.

Wiemy, że mieszkańcy wsi, którzy mają więcej okazji do widzenia zjawisk zachodu słońca, prawie wcale nie są wrażliwi na „piękno" zachodu, które pasjonuje „marzycieli" z miasta.

Przecież mało kto z naszych inteligentów pasjonuje się do malarstwa lub muzyki, a to dla tej prostej przyczyny, że go nie nauczono widzieć i odczuwać „piękna" tych wytworów kultury.

A literatura? Czy nie należy nauczyć czytania utworów literackich? Czy normalny nasz inteligent nawet z wykształceniem wyższym konsumuje tę twórczość? Czy nie dla tego, że go tego nie nauczono?

Otóż takie nawskroś indywidualne przeżycia, jak piękno, są narzucone przez kulturę ludzką.

Sprawa polega tedy na tym, czego i w jaki sposób uczyć. I tu dopiero nabiera wartości metodologicznej termin: zespół. Tylko w zespole i przez zespół urabia się określony typ jednostki, z którą można się porozumieć i której potrzeby indywidualne można ocenić i starać się zaspokoić. Dopiero ten sposób ujęcia pozwala na ocenę roli, którą gra najwyższy typ zespołu i twórczości zespołowej, jakim jest nowoczesne dynamiczne państwo.

Nas nie dziwi, jak myślących w kategoriach indywidualistycznych, że każdy naród, wychowany w określony sposób, przez nadrzędną organizację, posiada wygląd indywidualny.

Również prosto tłumaczy się odmienność pojedynczych członków takich zespołów: klasa, grupa społeczna, zawody i t. p.

Odrębność ta również nosi charakter wychowania zespołowego: wprawne oko odróżni na ulicy wojskowego, rzemieślnika, uczonego, czy kupca, choćby byli odziani w podobny sposób.

Różnice indywidualne w obrębie jakiejś grupy, również można sklasyfikować według pewnych teorii, narzuconych przez wychowanie lub funkcje bardziej szczegółowe. Nawet formy przejawiania najintymniejszych przeżyć są wytworem kultury.

Twórczość jednostki nie ginie w twórczości zespołowej lecz przejawia się w formach narzuconych przez kulturę, gdyż inaczej byłaby ta twórczość nieprzekazywalna i umierałaby w momencie narodzin.

Całe zagadnienie najważniejsze metodycznie, a dla państwa praktycznie, to to, w jaki sposób zorganizować zespoły, aby twórczość jednostki przejawiała się najintensywniej, najpłodniej i w dziedzinach najwięcej ważnych.

Wtedy podniesie się *wartość jednostki* do wyżyn nieznanych w dotychczasowych kulturach, gdyż oceniać się będzie jej zdolności, jej twórczość, nie zaś to wszystko co pozwalając na luksus indywidualności jednych, skazuje na bezbarwność resztę „szarych" ludzi!... (11)

PIERWSZE STRZAŁY

Uważa się u nas powszechnie, że literatura państwowa to pisanie o Piłsudskim i o Legionach, albo dyskretne wychwalanie rządu, swego rodzaju współpraca z nim. Że to wiersze na śmierć Narutowicza lub poświęcone uchwaleniu konstytucji. I przez wiele lat spłodzono bardzo dużo ponurej grafomanii o Józefie Piłsudskim i wiele pięknych o Nim utworów, wydrukowano też w prasie i czasopismach wiele różnych dytyrambów. Kwitła też „poezja" użytkowa w epoce wyborów do Sejmu i Senatu („głosuj na jedynkę — będziesz jadł chleb i szynkę" albo „głosuj na kandydata Sochę — będzie w Polsce żydów mniej trochę"), którą podawano jako przykład literatury państwowej a której jak nie było tak niema.

Na temat roli poezji ileż to już atramentu przelano, ileż to już stoczono batalii po wszystkich „dodatkach literackich".

Rzućmy pobieżnie okiem na te sławetne batalie, żeby nie powtarzać cudzych błędów i złudzeń. Ostatnie lata bardzo były w owe dyskusje bogate: Irzykowscy, Peiperowie, Przybosiowie, Łaszowscy, Czernikowie i tylu innych, w braku widocznie większych zmartwień wałkowali poetyckie tematy bez przerwy. A więc: czy poezja ma służyć jakimś celom, czy też jest sama celem; czy ma wartość artystyczną, czy też ją tylko wzmaga? Toczono boje homeryckie o to czy treść jest ważniejsza czy forma, aż stwierdzono ku zadowoleniu obu stron, że treści od formy oddzielić w wierszu nie sposób. Zastanawiano się, czy istnieje hierarchia tematów; rozważano zupełnie na serio, czy słaby wiersz o Chrystusie jest ważniejszy od dobrego wiersza o wielorybie, burzono dawne hierarchie i ustalano nowe.

Szczególnie aktualna była t. zw. „poezja społeczna". Nawet przy zgodzeniu się na jej konieczność nie brakowało sporów, w jaki sposób mają się „tendencje społeczne" wyrażać. Czy mają wynikać bezpośrednio z *treści*, czy też *forma* ma być tak „rewolucyjna", żeby zachęcała do zmian we wszystkich innych dziedzinach. Pewien (bardzo zresztą zdolny) krytyk, ku wielkiemu prawdopodobnie zdziwieniu „burżujów", udowadniał, że zwrotka jest wymysłem burżuazji, a inny, ku niemniejszemu zapewne zdziwieniu socjalistów, twierdził niezbicie, że rymy bardziej od siebie oddalone niż o trzy linijki, to są rymy socjalistyczne (autentycznie!). Oczywiście, że gdy o biedną poezję chodzi, wszystko można uczenie udowodnić i dyskusja o poezji społecznej rozwijała się pomyślnie ku olbrzymiemu zainteresowaniu... kilkunastu poetów i krytyków. Aż wreszcie Tadeusz Peiper, autor naprawdę arcyciekawej książki p. t. „Tędy" zrobił rewelacyjne odkrycie. Stwierdził on całkiem poprostu, że „każdy dobry wiersz jest wierszem społecznym, bo spełnia społeczne zadanie" i sprowadził walkę o poezję *społeczną* do walki o poezję *dobrą*. I niewątpliwie prędzej czy później stwierdzi ktoś inny, że poezją dobrą może być tylko poezja nawskroś osobista, ktoś trzeci powie, że to jest stanowiskiem aspołecznym i tak „dookoła Wojtek".

Wszystkie te perypetie poetyckich dyskutantów przytoczyliśmy jako przestrogę i przykład, do jakiej jałowości, do jakiego rozszczepiania włoska na czworo prowadzi mania definicji i szufladkowania z jednej, a najzupełniej niepotrzebnie komplikowanie zagadnień z drugiej strony. U źródel wszystkich wielkich poczynań leży zawsze prostota, komplikowanie i wyolbrzymianie zagadnień staje się udziałem tych, którzy nie wiele mają do powiedzenia.

Literatura jest dla nas jedynie środkiem i narzędziem. Uznajemy w wyjątkowych wypadkach uprawianie „sztuki dla sztuki", ale i to jest tylko udzieleniem „kredytu", wypracowane w sposób laboratoryjny, formy zostaną wykorzystane później z nawiązką. Jedynym więc kryterium jakiem osądzamy literaturę, to wpływ, jaki wywiera na czytających. Wszystkie „problemy" dlaczego i jak literatura powstaje, co czuł i myślał autor, to rzecz właściwych teoretyków. Nas interesuje odwrotna, nie indywidualna, ale zbiorowa strona zagadnienia, jaką rolę ta literatura spełnia. Rola ta musi być twórcza i rozwijana na tłach państwowych; nie będzie to naszym zdaniem ograniczać i hamować twórczości, lecz właśnie nada jej sens i zdecydowane oblicze. Nie chodzi tu oczywiście o uprawianie aktualnej polityki, ale o postawienie na należytym poziomie spraw na wielką skalę. *Literatura winna narzucać typy przeżywania i ukazywać ludziom sens życia w formach państwowych.* Postaramy się to rozwinąć. Wychowanie — w naszym przynajmniej przekonaniu — winno się zaczynać bardzo wcześnie i trwać dopóty, dopóki dana jednostka zdolna jest do twórczości. Potężnym narzędziem wychowawczym, pedagogicznym jest literatura. Nie należy brać tego powierzchownie, nie należy rozumieć, że wystarczy pisać poprostu „płać podatki", nie o takie „wychowanie" tu chodzi. Chodzi o wytwarzanie atmosfery. Czytelnik wyszukuje analogie między środowiskiem, o którym czyta, a środowiskiem, w którym się obraca, między konfliktami jakie opisuje autor czytanej książki, a konfliktami z jakimi sam się spotyka, czytelnik zastanawia się (podświadomie zupełnie) jakby się zachował sam w opisywanej sytuacji i poddaje się bezwiednie daleko idącym sugestiom.

Czytelnik zaraża się atmosferą książki. Cała psychoza plotkarstwa, szerząca się bezprzykładnie we wszystkich dziedzinach życia jest też wynikiem plotkarskiej literatury. Literatura uczy — tak, jako optymiści wierzymy — tego co jest ważne, a co drugorzędne. I musi wcześniej lub później powstać jakiś nowy prąd, który zmiecie bez reszty to o czym dzisiaj ciągle czytamy. Trójkąt małżeński, kłopoty rodzinne, okres dojrzewania, różne „weltschmerze" czy „wadzenia się z Bogiem", a w najlepszym wypadku czysto uczuciowe i nieodpowiedzialne „biadolenie" o nędzy, oto sprawy, o których uczy nas literatura, wpajając w nas przekonanie, że to są rzeczy najważniejsze.

Mamy tu wielkie pole do popisu dla przyszłej literatury państwowej. Ot kilka przykładów zanotowanych przypadkowo!... Czy konflikt między imperatywem państwowym, a imperatywem społecznym, rodzinnym, czy koleżeńskim nie jest bardziej dramatycznym i godnym pióra, niż konflikt jakiegoś bubka, który ma wybrać pomiędzy żoną i kochanką? Czy zagadnienie realizacji, dysproporcji pomiędzy wyobrażeniem, a tym co zostaje wcielone nie jest ciekawsze od dyskusyj panów z „Wspólnego Pokoju"? Czy zamiast ludzi straszyć wiecznością, nie lepiej straszyć ich realną, a może już bliską wojną? Czy zagadnienia socjalne postawione w płaszczyźnie państwowej, a nie w płaszczyźnie „biadolenia" nie proszą się o omówienie? Czy zamiast

zawracać ludziom głowę przedpokojowym plotkarstwem, nie lepszym było by „zatrzeć" ich myślą o sprawach wielkich i godnych myśli, czy zamiast wyolbrzymiania spraw drobnych, nie nauczyć ich dostrzegania i oceniania problemów w skali państwowej? Oto pierwsze zadanie literatury państwowej: wytworzyć atmosferę wielkich, bezosobistych zagadnień, nauczyć ludzi przeżywać głęboko i silnie przede wszystkim tego, co głębokiego i silnego przeżycia rzeczywiście jest godne. A teraz zadanie drugie: ukazać ludziom sens ich życia, powiedzmy banalnie ukazać im piękno państwa. Trzeba żeby urzędniczyna sprzedający bilety na prowincjonalnej stacyjce odczuł, że nie jest bezmyślnym automatem, że praca jego, że praca milionów cichych funkcjonariuszy składa się na wielką wypadkową, żeby przedstawiciele najróżnorodniejszych funkcyj i zawodów poczuli, że gdzieś w wyższej syntezie łączą się ich wysiłki w jakąś całość dla ogólnego dobra, że praca ich ma sens bo wiąże się i splata z pracą milionów innych. Takie poczucie daje radość życia, takie poczucie czyni człowieka *potrzebnym*. A teraz piękno Państwa. Trzeba ludzi nauczyć, że Państwo nie jest bezmyślną pompą ssącą, wyciskającą ze wszystkich sił, że Państwo nie jest molochem pożerającym co tylko może, że Państwo, obok całej jego ścisłości, to niesłychanie subtelny instrument, to jakże misterne operowanie uzdolnieniami na najwyższym poziomie i w najtrudniejszych warunkach.

Nie ma tu — powtarzamy — żadnej sprzeczności z tym co sami zawsze głosimy, że Państwo jest organizmem najbardziej zracjonalizowanym. W naprawdę wielkich sprawach w parze kroczą ścisłość i piękno, realizm i poezja. Weźmy przykład: wojna. Sama wojna rozpatrywana w poszczególnych, oderwanych od siebie i ściśle określonych fragmentach, w wysiłku myślowym dowódców i w ciężkim trudzie żołnierzy, jest przejawem najściślejszego realizmu, a przecież te fragmenty ujęte w całość układają się w najpiękniejsze legendy, zapładniają wszystkich artystów.

Postać Józefa Piłsudskiego niech będzie drugim przykładem najściślejszego powiązania straszliwego realizmu z najczystszą i najpiękniejszą poezją. Tak samo Państwo wymagające od nas najchłodniejszego wysiłku na oderwanych, konkretnych odcinkach, łączy się wyżej w całość godną podziwu.

I oto drugie zadanie państwowej literatury pięknej, najniższego nawet w hierarchji państwowej pracownika winna nauczyć dostrzegania w najbardziej nawet szarej i trudnej funkcji tego refleksu wielkości i piękna jakim promieniuje państwowość. Im mniej efektowna jest funkcja tym bardziej wymaga tego piętna wielkości. Nie potrzebne na górnych szczeblach funkcyj państwowych staje się u dołu prawdziwą koniecznością życia. I tutaj musi powiedzieć swoje słowo sztuka. *(5).*

Z PARLAMENTU

(14) Słuszne uznanie należy się inwencji marsz. Prystora, by za punkt wyjścia dla pierwszej plenarnej dyskusji w Senacie wzięto oświadczenia Rządu złożone Sejmowi. Inwencja była trafna i — jak się w skutkach okazało — celowa.

Trafna, bo wypowiedzi pp. senatorów skierowała na tematy istotnie rzeczowe i aktualnie związane z właściwym zadaniem niniejszej sesji parlamentarnej t. j. oceną przedłożonego budżetu. Pod tym względem szczerze żałować należy, że szczupły rozmiar sali nie pozwala zaprosić na takie posiedzenie senackie również i pełnego kompletu członków Izby poselskiej. Można by wtedy urządzić dla nich coś w rodzaju skróconego kursu dokształcającego lub bodaj jednorazowej lekcji poglądowej. Niechby posłuchali, — kto wie, możeby się od starszych nauczyli mówić o rzeczy do rzeczy. Wszystko jest możliwe. Wszak są wśród nich ludzie młodzi i obiecujący... Kto wie? Moglibyśmy wówczas mieć parlament jak brylant — czystej wody.

Inwencja marsz. Prystora okazała się poza tym *celowa*. Większość wypowiedzi pp. senatorów, w przeciwieństwie bądź do biadoleń bądź do omnibusowych rozpędów poselskich z pierwszego dnia debaty sejmowej, utrzymana była istotnie w ramach wyznaczonych parlamentowi.

Czuło się w tym przynajmniej konsekwencję. Skoro bowiem Konstytucja to Konstytucja. Precyzuje ona przecież nietylko uprawnienia, ale i *obowiązki* parlamentu. Stąd też i przemówienie sen. Rostworowskiego, stającego w obronie rzekomo naruszonej Konstytucji, nie z tej racji było pikantnym momentem, iż prorządowiec stawiał tego typu zarzut Rządowi, nie wnosząc jednak o votum nieufności. Stokroć więcej bezwiednej a niezamierzonej przez mówcę pikanterii tkwiło w tym, iż konserwatywny senator mimowoli sam właśnie zabrnął poza granicę konstytucyjnie mu wyznaczonego działania parlamentarnego, kiedy z podniosłego diapazonu troskliwości o równowagę ustrojową zjechał w niziny całkiem prozaiczne... kwestii leśnej. I na tych nizinach wszystko stało się odrazu jasne. Miał być szlem w bez atu, może nawet z koronką asową, — aż tu przez niefortunne odkrycie karty z żołędzią leśną nie wyszły nawet proste trefle. W dodatku z kontrą.

Ale to nieważne. Na ogólnym tle obrad Senatu żołędna historia konserwatywnego senatora stanowiła tylko incydent, z którego p. Rostworowski wybrnął z wytwornością przynoszącą osobiście zaszczyt jego doskonałym manierom.

Były natomiast przemówienia inne, ważniejsze. Naprawdę zaś *ważne*, było to, co powiedział sen. Wacław Makowski. Słyszało się w tym czysty dźwięk bezinteresownej troski o los i interes całości Państwa. Powagę treści mowy p. Makowskiego ocenić potrafią wszyscy ci, którzy już zdołali zauważyć, że powoływanie się na „testament" Pierwszego Marszałka staje się grą słów, stosowanych z bezceremonialną dowolnością do sytuacji lub potrzeby.

Nie w tym spoczywa sedno rzeczy, czy z formalistyczno - kazuistycznego punktu widzenia w takiej lub owakiej materii stało się zadość suchej literaturze prawniczej. Ale w tym, czy istotnie wykonywane jest w Polsce to kardynalne prawo, że odpowiedzialność za Państwo ponosi każdy obywatel. Odpowiedzialność tym większą, surowszą i cięższa, że choćby kto chciał, niepodobna jej dziś przerzucać na barki. które ją samotnie, nadludzkim wysiłkiem przez tyle lat dźwigały.

Tę odpowiedzialność trzeba dzisiaj dźwigać osobiście. Bez frazesu i wielkich słów, bez omówień.

Sen. Makowski nie bawił się w interpretacje. Mówił jedynie prawdę. — „*Jest kilka odmiennych rozwiązań nowoczesnego zagadnienia państwowego. Polska nauczyła się z przebiegu swojej historii, że tylko te czyny są warte, które są podejmowane pod własnym sztandarem. Będzie mógł się ostać i zwyciężyć tylko ten. kto będzie miał swoją własną ekspansję i swój własny imperializm... Dziś przychodzi chwila, w której musimy się znowu zdobyć na własne hasła i na wcielenie ich w czyn*".

Trzeba nam „*stworzyć własną koncepcję państwa społecznego, opartego na najściślejszym współdziałaniu obywatela z Państwem i na odpowiedzialności każdego obywatela za losy Państwa*".

Tak jest. To jest *jedyna* racja stanu i najistotniejsza, główna i konieczna potrzeba Polski. Inne — są tylko jej pochodnymi. Dziś są, jutro ich może nie być — lub naodwrót. Ale tamta potrzeba, konieczność posiadania silnego Państwa, za które rząd, obywatel i parlament ponosi odpowiedzialność, ma i będzie miała zawsze jednakową moc prawa obowiązującego.

„O ISTOCIE I WARTOŚCI DEMOKRACJI"

Nakładem „Biblioteki umiejętności prawnych i politycznych" wyszła książka Hansa Kelsena p. t. „O istocie i wartości demokracji".

Dla nas wciągniętych w transmisję spraw państwowych, książka ta otwiera szereg zagadnień ciekawych, choć w wyższych regionach myślenia państwowego nie wylegitymowanych.

Rewolucje mieszczańskie 1789 i 1848 r. przetworzyły ideał demokratyczny na aksjomat myślenia politycznego. Demokracja jako forma kształtowania porządku społecznego zafermentowała w umysłowościach 19-go stulecia. Na miejsce pierwotnej zasady demokracji — idei wolności wywodzącej się z „Contract Social" wkracza nowa zasada, że każdy może zostać przywódcą, stąd prosta tendencja do jaknajwiększego zrównania i w konsekwencji najważniejszy praktyczny postulat demokracji — wychowanie demokratyczne zakładające z góry, że wszyscy są w równym stopniu zdolni do wypełniania jakiejkolwiek funkcji politycznej.

Autor w swoich rozważaniach nie ogranicza się do strony prawnej zagadnienia, jak uczynił to Aleksander Kielski w swojej broszurze p. t. „O istocie i granicach demokracji", a raczej wzorując się na pracach niemieckich Steffera („Das Problem der Demokratie") i Hasbacha („Die moderne Demokratie") sięga do założeń filozoficznych widząc w przeciwieństwie światopoglądu metafizyczno absolutystycznego i empiryczno relatywistycznego przeciwieństwa autokracji do demokracji.

Dla autora demokracja jest wyrazem politycznego relatywizmu i tylko tak zrozumiana może być przeciwstawiona absolutyzmowi. Nie chodzi o to, jak autor zdefiniował demokrację i jak naukowo rozwiązał problem „światopogląd a demokracja". Chodzi o to, że autor tkwi korzeniami w obcej nam metodzie myślenia. Demokracja dla niego staje się dzisiaj znowu zagadnieniem aktualnym w obliczu „dyktatury partii lewych czy prawych" tak jak niegdyś w przeciwieństwie do autokracji.

Autor stwierdza co prawda, że teoria marksizmu, a szczególnie jej nowa odmiana doktryna bolszewicka podstawia pod miano demokracji na miejsce ideologii wolnościowej ideologię sprawiedliwości, przyłapując cały uczuciowy ładunek tkwiący w demokracji na korzyść dyktatury, że prawe skrzydło stronnictw mieszczańskich także odmieniło demokratyczny punkt widzenia w celu utrzymania się przy władzy, ale demokracja daje się uzasadnić psychologicznie, bo przecież „idea demokracji daje ujście dwóm prainstynktom istoty społecznej", jest „protestem przeciwko cudzej woli", „przeciwko więzom heteronomii" i t. p. więc należy zawsze podnieść aktualność demokracji.

Autor nie rozumie, że żadna epoka nie rozwiązała do końca swoich zagadnień. Średniowiecze nie dla tego zapadło się w dziedzinę archeologii, że rozwiązało wszystkie swoje przez czas narzucone problemy, ale dla tego, że przyszły nowe teorie, które rzuciły się na ich rozwiązanie.

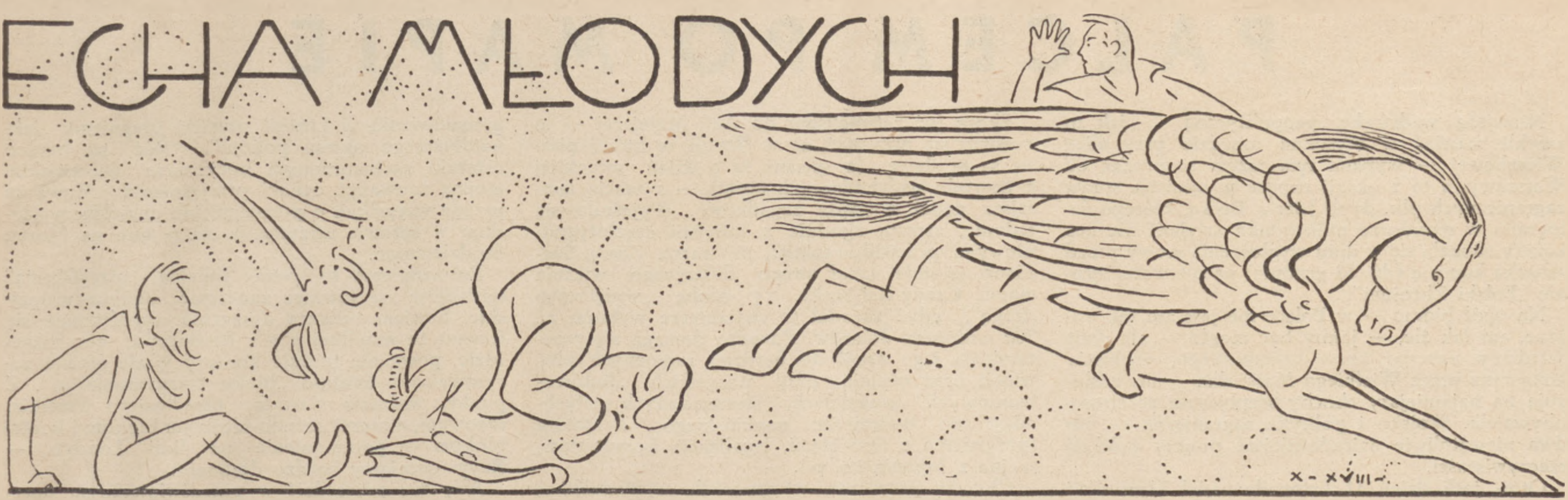
Łatwo jest dziś zauważyć, jak nowe zupełnie teorie, starają się rozwiązać zagadnienia przeżywającej się starej teorii jakiej jedną z pochodnych jest demokracja.

W Europie powstały państwa, państwa dynamiczne odrzucone w swych koncepcjach na wielką odległość od państw z przemyśleń Platona, państw statycznych.

Był czas, kiedy Chiny biły Europę. Wystarczyło żeby Europa zmieniła metodę myślenia, weszła na układ Dekarta, aby Chiny spadły do poziomu kraju wyobcowanego z życia.

Z chwilą kiedy Europa weszła na układ myślenia państwowego wszyscy demokraci spadli do poziomu Chińczyków. A psychologia? Historia uczy, że tak zwane prawa psychologiczne są pochodną przyjętej z góry determinującej metody myślenia. Nowa metoda myślenia państwowego może wytworzyć w jednostce odpowiednią ilość instynktu i dyspozycyj uczuciowych pozwalających jej na życie tylko w silnie zorganizowanej społeczności.

Wolność polityczna cw. publiczna tak droga wielu epigonom 19 w., tak reklamowana w demokracjach nie sprzyja napewno w Polsce poczynaniom nowatorskim. To każe myśleć. (345)



Nowe Państwo Pracy jest organem Legionu Młodych. W nr. 17 z dnia 13. XII. mamy pełen szczytnej frazeologii artykuł p. t. „Nasz nacjonalizm" z zapowiedzią triumfu „Wielkości Piękna i Sprawiedliwości".

Zwróciliśmy uwagę na artykuł „Nauczyciel w służbie państwa". Czytamy:

„Państwo nie pozwoli się ubiec w kształtowaniu duszy obywatela jakiejkolwiek potencji zewnętrznej.

Posuwamy się wciąż naprzód w walce o wyzwolenie ludu z ciemnoty ,nędzy i zacofania. W tej gigantycznej pracy przoduje nauczycielstwo, które nie załamie się, nie ugnie, choćby się sprzęgły wszystkie siły wsteczne.

Nauczycielstwo jest i pozostanie niezależne od wpływów ubocznych. Nauczycielstwo powołane do najszczytniejszej obok armii służby, spełnia ją w poczuciu wysokiej odpowiedzialności".

Trzeba czuwać aby nauczycielstwo nie stało się domeną jakichkolwiek wpływów poza państwowych.

*

Narodowy Socjalista (z 20. XII.) bardzo się zżyma na to, że socjaliści ogłosili, że O. N. R. tworzy nową partię „Partię Narodowych Socjalistów".

„Partia Narodowych Socjalistów istnieje już kilka lat, potężnieje przez ciągły przypływ świata pracy, krytycznie nastawionego do warcholskich wyczynów komunizmu i prawicy — aż naraz dowiadujemy się, że to dzięki... A. B. C., które tworzy „Partię Nar. Socj.". Nie dziwilibyśmy się, gdyby szukające dróg ideowych endecja miała chęć „odegrać się" na nutę robotniczo-chłopską, ale nie może przybierać nazwy organizacji już oddawna istniejącej".

Bardzo nam przyjemnie, że „Partia Nar. Soc." istnieje już parę lat. Będziemy się starać nie mieszać tej partii z „A. B. C."...

*

Bunt Młodych (z 10. XII.) gorąco nawołuje do tworzenia bibliotek gminnych.

„Środki? pieniądze? Jeżeli są pieniądze na budowę fabryk nart i fabryk protezów państwowych, to chyba powinny się znaleźć na biblioteki gromadzkie. Czyż zresztą nie wartoby było, aby państwo na ten cel wyzbyło się kilkudziesięciu deficytowych przedsiębiorstw i ufundowało w ten sposób wartości o wiele stalsze, prawdziwy fundament moralny naszego państwa?".

Istnieje przecież jakaś komisja badania przedsiębiorstw państwowych. **Bunt Młodych** mógłby się porozumieć z Komisją odetatyzowania państwa, która chętnie zagadnienie mobilizacji związe z „inicjatywą prywatną" naszych sfer gospodarczych. A gdy ta komisja otrzyma z „Buntu Młodych chorągiewkę ideową w postaci projektu bibliotek gminnych będzie jej raźniej pracować.

*

W **Prosto z Mostu** (z dnia 20. XII.) p. Wojciech Wasiutyński ma pewien poważny kłopot: czy Alter Rosenberg (autor „Der Mythus des 20 Jahrhunterts") jest „wolnomularzem czy tylko wolnomyślicielem"? W rozstrząsaniu tego zagadnienia zdradza p. Wasiutyński, jak zwykle, ogrom erudycji i ani krztyny pogody ducha.

„Bałbym się twierdzić z pewnością, że Alfred Rosenberg jest masonem z którejś z lóż staropruskich, twierdzę tylko, że na takiego wygląda. Masonów staropruskich „patriotycznych" była w Niemczech bardzo wielka ilość, a partia konserwatywno-narodowa („Deutschnazionale") była ich wyrazem. Ludzie ci nie znikli, lecz muszą być dziś w partii hitlerowskiej.

Nie byłoby nic dziwnego, gdyby na początku rozwoju ruchu Hitlera posłali tam pewnych ludzi dla opanowania młodego i niedoświadczonego kierunku. Nie udało im się to, ale — dlaczego Hitler nie powierza Rosenbergowi żadnego stanowiska państwowego, dlaczego on jeden ze starego sztabu jest na uboczu od najwyższych decyzyj?".

Gdyby p. Wasiutyński znał dobrze dzieje ruchu narodowo-socjalistycznego wiedziałby, że ruch ten bardzo wiele zawdzięcza owym „Deutschnazionale"... A co się tyczy „starego sztabu" różnic z nim bywało- — to raz, a po drugie p. Wasiutyński nie wie ani do czego się Rosenberg nadaje, ani co właściwie robi. Gdyby wiedział ani nie posądzałby go o wolnomularstwo ani o wolnomyślicielstwo. Stwierdziłby zapewne poprostu, że nie jest katolikiem. I to byłoby prawdą.

I jeszcze jedno. Masoni czy nie masoni wszyscy Prusacy i przeważnie wszyscy Niemcy zawsze wielbili starego Fryca, nie wyłączając katolików niemieckich. „Staropolski duch" a „duch fryderyciański", którego kult szerzyła armia niemiecka — toć chyba jedno i to samo.

W poprzednim numerze **Prosto z Mostu** odsłonił redaktor tego tygodnika pewną tajemnicę. Ogłosił on, że numer „201" naszego współpracownika jest numerem pułku ochotniczego, którym w roku 20-ym dowodził Koc. Inne zaś numery to zapewne numery pułków w których służyli wojskowi jakoby pracujący w naszym tygodniku. Z tego wynika wyraźnie, że jesteśmy filią „Polski Zbrojnej". Ładna historia!

*

Gdy „Ilustrowany Kurier Codzienny" ogłosił projekt organizacji pułkownika Koca, ukazało się sprostowanie, dowodzące, że przeczy temu przez agencję „Iskra" sam pułkownik Koc. Jeżeli o nasz „ZACZYN" chodzi, uczyniła to „Gazeta Polska". Czyżby pismo to nieznanej nam bliżej z widzenia grupy zostało organem pułkownika Koca i to dopiero od 11 grudnia? Przed tą datą w „Gazecie Polskiej" oddawna było cicho o Kocu, jakbyś po „szlachetnym" makiem zasiał. Szukamy zaczepki z dostojną ciocią „Gazetą Polską", pragnąc wywabić na dyskusję pułkownika Miedzińskiego jako Świtka. Wiemy, że byłby to groźny przeciwnik, ale cóż by to za korzyść była dla nas młodych... Byłoby się na kim trenować! A nas spisanych i ułożonych w kartotekach jest według, zdaje się, „Wieczoru Warszawskiego" żywych, młodych aż dwieście i jeden.

*

To nic dziwnego, że „Warszawski Dziennik Narodowy" poznał swoich czytelników z karykaturami z Nr. 1 „Zaczynu" i odsądził nas od polskości, przewrotnie tłomacząc sens karykatur. To nic dziwnego, gdyż metody staro-endeckie są znane i pogląd na nie ustalony jest nie od dziś.

Faktem jest, że młodzież endecka uniwersytet nie tylko blokowała, ale i demolowała i wiadomo od czego się zaczęło. Znane są te rzeczy z prasy codziennej.

W miesięczniku „Prawdzie w oczy" czytamy:

„Zaczniemy od początku. — W dniu mianowania Marszałka Śmigłego-Rydza 10 listopada b. r. — ukazuje się w prasie list otwarty, podpisany przez trzech prezesów Bratnich Pomocy, w którym deklarują oni swój oficjalny udział w uroczystości, jednak pod warunkiem, że ma ona charakter wyłącznie wojskowy, a nie polityczny. — Czy list ten pisali panowie prezesi, czy też im ktoś dyktował, co do tego, to zdania są podzielone. — Panowie prezesi, czy Wam nie wstyd?! Idziemy..., lecz pod warunkiem. — Ja za taki warunek wyrzuciłbym was poprostu za drzwi. Iść, albo nie iść, ale warunki?!

Dalsze wypadki znane. Ulotki, dyskusje, kłótnie, aż wreszcie sławetne zebranie Bratniaka U. J. P. w dniu 23 listopada b. r. — niby dla oczyszczenia się p. prezesa z zarzutów odnośnie do jego wystąpienia politycznego (?) w/w. uroczystości".

Czy to znaczy, że redakcja „Prawdzie w oczy" myśli „po żydowsku", zdając sobie sprawę z początku blokady, z **istotnej jej przyczyny?**

Blokada uniwersytetu warszawskiego nie była wyrazem jednolitej postawy młodzieży polskiej jak to przedstawiała prasa endecka.

W miesięczniku „Młodzież katolicka" czytamy:

„Kwestia żydowska w Polsce musi być załatwiona w płaszczyźnie interesów polskiej, a nie żydowskiej narodowości. — Podkreśleniem zbiorowej woli wszystkiej młodzieży i solidaryzowania się z nią coraz szerszych kół społeczeństwa były blokady uczelni lub domów akademickich. Ale ta sama kwestia wymaga jednolitej postawy. — Nie było jej w tym roku w Warszawie, gdzie z najżywotniejszej dla polskiej młodzieży i dla nas wszystkich sprawy uczyniono przedmiot rozgrywki partyjnej".

Czyżby młodzież katolicka zgrupowana w „Młodzieży katolickiej" myślała po żydowsku?

Faktem jest, że do rozgrywek partyjnych młodzieży wciągnięto nazwisko Marszałka Rydza-Śmigłego i faktem jest, że uniwersytet zdemolowano. I prawdą jest, że czytelnik „Zaczynu" bez wyjaśnień, z naszych karykatur dobrze wiedział kogo mamy na myśli.

„Warszawski Dziennik Narodowy" swoim artykulikiem „Metoda poglądowa" (10. XII) dowiódł jasno, że mamy do czynienia z dawną ponurą zabawą studencką. Kto nie jest endekiem — nie jest Polakiem. Co więcej: kto nie jest endekiem, nie może być antysemitą. Jest sobie tylko „antysemitą koniunkturalnym", jak głosi od czasu do czasu „Warszawski Dziennik Narodowy". Obłędny fanatyzm staroendecki trwa!

Nowy „niezależny" tygodnik „Wiadomości akademickie" uważa, że:

„Winno być najściślej i najharmonijnie powiązane życie uczelniane studentów z charakterem uczelni. Nie może bowiem w **normalnych** warunkach i stosunkach być nie tyle rozdźwięku między uczelnią a słuchaczami, ile wogóle w **pracy i w nauce** nie ma miejsca na sprawy i rzeczy wtórne, drugoplanowe, przynajmniej drugorzędne z punktu widzenia istoty i celu wyższych zakładów naukowych".

Istotnie. Nam się zdaje, że tęsknota ogółu młodzieży do nauki staje się tęsknotą zdrową. „Wiadomości akademickie" stwierdzają, że

„Niewspółmiernie nikła w zestawieniu z procentem ludności wsi w Polsce jest liczba młodzieży wiejskiej na wyższych uczelniach. Na przeszło 48.000 studentów, młodzieży wiejskiej jest 6.360, co stanowi niewiele ponad 13 proc. ogółu młodzieży akademickiej. Na 73 proc. ludności Polski, zatrudnionych w rolnictwie, jest to stanowczo za mało".

*

Ktoś powiedział: Jeżeli przeciwnicy ci przebaczą to tylko wtedy, kiedy nie będziesz miał racji.

Przeciwnicy nasi nie mogli nam przebaczyć pierwszego numeru pisma. Dowód, że mieliśmy rację.

Jakiś obrońca ciemiężonej ludzkości z „Dziennika Popularnego" pomyślał sobie tak: „Zaczyn"? Aha! Dlatego, że to już „po czynie".

Mało, ale... głupio, czyli jak o nas w „Wiadomościach Literackich".

Są dwa rodzaje ludzi dowcipkujących. Jedni dowcipkują dlatego, że są dowcipni, drudzy dlatego, żeby im było weselej. Nasz szanowny czytelnik z „Dziennika Popularnego" nie należy do dowcipnych, niech więc dowcipkuje, żeby mu było przynajmniej weselej (zresztą nie chcemy mu podpowiadać głupstw; jest na tyle zdolny, że umie napisać sam własne głupstwo).

Podobnych dowcipów na temat „Zaczynu" było kilka. Mój Boże! Czego różni ludzie od nas chcą, nazywając nas np. faszystami. Przecież myśmy byli podobni raczej do organistów, niż do faszystów. Jeszcze pedału dobrze nie przycisnęliśmy, a już się fujary odezwały. Zresztą wielu czytelników „Dziennika Popularnego" chciałoby być faszystami, bo mieliby przynajmniej koszule.

Jakiś jegomość, który należy do „Ligi obrony praw człowieka i obywatela" i dlatego podjudza ludzi i obywateli przeciwko innym ludziom i obywatelom, wziął „Zaczyn" do ręki i powiedział: „Jeszcze jedno pismo sanacyjne, nic nowego pod słońcem".

Po pierwsze: „Nic nowego pod słońcem" jest powiedzeniem idiotycznym, bo zakłada, że słońce jest zawsze czymś nowym, a po drugie — proszę przeczytać to, co będzie dalej.

Kiedyś krążyła plotka: „węgiel staniał o zł. 15 na tonnie".

Tymczasem okazało się, że to nie węgiel staniał, ale bielidło, i nie o zł. 15 na tonnie, ale o złotówkę na kilo, i nie staniało, ale podrożało.

Otóż krążyła pogłoska: sanacja wydała pismo „Zaczyn". Prostujemy, że to nie sanacja wydała pismo, bo „sanacja" — nie istnieje, ale młodzież państwowa, ciesząca się z współpracy paru starszych państwowców a która zasiadła do pracy z myślą nie o sanacji, ale o swoim państwie, o które walczyć będzie z całą opinią publiczną, zaplątaną w transmisje spraw kawiarnianych.

PALCEM PO MAPIE

Niniejszą wędrówkę „geopolityczną" — jak to zwykli mawiać w wysokim urzędzie przy ulicy Wierzbowej — wypada tym razem rozpocząć od Warszawy, a to z okazji exposé p. ministra spraw zagranicznych płk. dypl. Józefa Becka, którego fotografia w mundurze pułkownika artylerii nie bez kozery ukazała się w dniu wygłoszenia mowy przed senacką komisją (dn. 18 grudnia) na pierwszej stronie „Polski Zbrojnej".

Na ogół biorąc — w Polsce nie jest ani tak dobrze, ani tak źle, — jakby być mogło — ale dwie dziedziny naszego życia państwowego, osobiście kierowane przez Wielkiego Marszałka — nie zasługują na najmniejszy choćby sceptycyzm ze strony obywatela. Wojsko i polityka zagraniczna — oto dwa niewątpliwie najradośniejsze punkty polskiej rzeczywistości.

Otóż jeśli dzień 11 listopada zadał kłam dość licznym, niestety czarnowidzom, którzy przez z górą rok uporczywie, a bezkarnie szerzyli defetyzm, całkiem bez powodu porównywując Polskę z... Abisynią — o tyle w dniu 18 grudnia, zostały rozwiane nadzieje wszystkich międzynarodowych czynników i ich agentur na tak dalece upragnioną przez nie zmianę polskiej polityki zagranicznej.

P. minister Beck, świetny artylerzysta, sztabowiec i mąż stanu, zaprodukował w swym piątkowym exposé całą serię znakomitych „strzałów", z których wedle naszego skromnego mniemania, absolutnie wszystkie trafiły do celu. Nawet te, które rozmyślnie... nie padły. Chodzi tu o pominięcie Czechosłowacji, które tak dalece zabolało ów jedyny w swoim rodzaju „jednolity front", istniejący w stosunku do Brühlowskiego pałacu — pomiędzy endecją, socjalistami, a „Naszym Przeglądem".

Z owej serii mistrzowskich strzałów szczególnie uradowały nas trzy, a mianowicie: 1) oświadczenie z okazji przedwczesnej niedyskrecji „towarzysza" Żdanowa, którego groźby w stosunku do naszych bałtyckich przyjaciół rzucone na ósmym kongresie Sowietów wywołały w Polsce zrozumiałe oburzenie, że „nic, co się dzieje nad tym jedynym morzem do którego mamy dostęp, nie może być dla nas obojętne", 2) stanowcze i męskie słowa w kwestji Gdańska, że „jeśli chodzi o zapewnienie respektu tych naszych interesów żywotnych, to nic się w tej sprawie zmienić nie może i stanowisko naszego rządu jest proste i niezmiene i 3) nadzwyczaj trafna charakterystyka postępowania Litwy, aż nadto uzasadniona ostatnimi barbarzyństwami Kowna popełnianymi w stosunku do naszych rodaków za litewskim kordonem.

Powracając do wspomnianego powyżej „jednolitego frontu" — niesposób oprzeć się wrażeniu, że jaki taki porządek w móżdżkach naszych „milusińskich" opozycyjnych publicystów, zajmujących się sprawami zagranicznymi mogłyby przywrócić tylko dwa fakty, na których realizację nadzieja jest dość słaba. Mianowicie, gdyby tak wódz Trzeciej Rzeszy wraz z całym otoczeniem przyjął wiarę mojżeszową, zaś Stalin dokończył rozpoczętych w młodości prawosławnych studiów teologicznych — to sytuacja obecnie, dla symplicystycznych umysłów stanowczo zbyt skomplikowana — stałaby się idealnie prosta; z jednej strony znalazłby się tradycyjne „Żydy i Niemcy", z drugiej zaś — „bratnia, słowiańska Rosja".

A tymczasem — nawet z panią Simpson nie można dojść do ładu — albowiem, wedle jednych — jest ona omalże emisariuszką „żydokomuny", zaś, wedle innych — agentką hitlerowską, która lansowała na dworze angielskim samego ambasadora von Ribbentrop'a. Nie dziwota, że przeciętny obywatel durnieje do reszty po każdorazowym przeczytaniu naszej codziennej prasy, która zresztą, jak naprzykład sławetny „Ikacyk" — potrafi z okazji ostatnich wydarzeń na Dalekim Wschodzie uczynić z Kantonu „stolicę czerwonych Chin", którą miasto to było dokładnie... 10 lat temu, a ponadto uśmiercić b. ambasadora sowieckiego w Pekinie, bardzo znanego „towarzysza" Karachana, który, o ile nam wiadomo, w najlepszym zdrowiu reprezentuje obecnie, jako ambasador, rząd sowiecki w Ankarze.

Skoro już zabrnęliśmy do Azji Mniejszej — to musimy się przyznać, że w chwiili, w której pisane są te słowa (a pisane są o dzień wcześniej z powodu nadchodzących świąt) — sytuacja tamtejsza nadal wygląda zagadkowo. Wyjaśniło się jedynie, zresztą zgodnie z naszymi zeszłotygodniowymi przewidywaniami, że marsz. Czang-Sue-Liang, istotnie uznał swego dostojnego więźnia marsz. Czang-Kai-Szeka za osobę „wyjątkowo drogą", gdyż zażądał w charakterze wykupu aż 300 milionów dolarów. Ponadto domaga się przeniesienia jego armii do bardziej zamożnych prowincji oraz obstaje przy wszystkich „ludowofrontowych" postulatach, sformowanych natychmiast po uwięzieniu nankińskiego dyktatora (przymierze z Sowietami, legalizacja komunistów, wojna z Japonią i t. p.).

Chociaż proroctwa w sprawach azjatyckich są wielce niebezpieczne, jednak (skoro jedno się nam już udało) można zaryzykować przypuszczenie, że cała sprawa skończy się zapewne „nankińskim targiem" — to znaczy, że buntowniczy marszałek Czang-Sue-Liang dostanie od rządu centralnego nominację na „komisarza do spraw pacyfikacji" prowincyj Szensi i Kansu, na których terytorium raczył się zbuntować, zostanie ewentualnie dokooptowany do najwyższej rady wojennej w Nankinie, na wzór kantońskich generałów Pai-Czung-Si i Li-Tsung-Yena, który w analogiczny sposób i pod bardzo podobnymi hasłami urządzili wczesną jesienią rewoltę w prowincjach Kuantung i Gwangsi i wreszcie — może dostanie trochę pieniędzy, stanowiących oczywiście zgoła znikomy odsetek żądanej sumy.

Powracając do Europy — można tym razem zanotować pewne optymistyczne objawy. Jesteśmy, rzecz prosta, niesłychanie dalecy od tak zwanego „inegralnego pacyfizmu", ale jak się wyraził wielki wódz zaprzyjaźnionej Italii w swym ostatnim przemówieniu w Littorii również pragniemy „jaknajdłuższego okresu pokoju". Otóż na bardzo ostatnio zachmurzonym horyzoncie europejskim można zauważyć oznaki przejaśnienia. Mowa tu przede wszystkim o porozumieniu angielskom-włoskim w sprawie utrzymania status quo na Morzu Śródziemnym.

Porozumienie to, poza lokalną „pacyfikacją" nastrojów ma również znaczenie ogólno-europejskie, bowiem oznacza dyskretne wycofywanie się Rzymu ze wspólnej gry z Berlinem i, co zatym idzie, poważnie tuszuje kontury wcale mocno zarysowanego ostatnio „bloku faszystowskiego". Z punktu widzenia Narodu, przeciwnego wszelkim ideowym, a raczej pseudo-ideowym blokom i kontrblokom — porozumienie na linii Londyn — Rzym oceniamy bardzo dodatnio.

Aby nie przesadzić w przedświątecznym optymiźmie — sądzimy, że groźba wojny światowej nie jest dziś tak dalece aktualna, jak choćby dwa miesiące temu.

Gdybyśmy się mylili — to omyłka nasza zostanie w najgorszym razie sprostowana we właściwym czasie i przez właściwe władze w drodze ogłoszenia mobilizacji.

Mamy jednak wrażenie, że tradycyjne błogosławieństwo „in terra pax" powinno wytrzymać próbę czasu, przynajmniej w zakresie nadchodzącego roku Pańskiego 1937. (66)

WYDAWNICTWA NADESŁANE

Prof. Zdzisław Ludkiewicz: „Polityka wielkich robót publicznych". Warszawa 1936.

Prof. Przemysław Dąbkowski: „Szlachta zaściankowa w Koryczynie i Kruszelnicy", Lwów 1936.

„Gospodarka Narodowa" Nr. 24.

Od Administracji

Następny numer **Zaczynu** ukaże się we czwartek, dnia 7 stycznia 1937 roku.

WSPÓŁPRACA



PAN CENZOR MYŚLI A MY... TEŻ

Adres Redakcji i Administracji: **Warszawa 1, Al. Ujazdowskie 20 m. 7, tel. 7.11.97. Konto czekowe P. K. O. Nr. 25.544**

Numer pojedyńczy 40 gr. — prenumerata miesięczna 1 zł. 40 gr. — kwartalna w kraju 4 zł. — zagranicą 6 zł.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca: **Leon Borkowski**

Godziny przyjęć redakcji: 5—6 we wtorki, czwartki i soboty. Administracja czynna codziennie 10—12 i 5—7.

Drukarnia Współczesna, Sp. z o. o., Warszawa, Szpitalna 10